

Folha Polonêsa

Przegląd
Polski
REVISTA POLONÊSA

ROK 2. N.º 10 LIPIEC-SIERPIEŃ — 1961



Przegląd Polski

REVISTA POLONÊSA

DWUMIESIĘCZNIK

N.º 10 — LIPIEC-SIERPIEŃ — 1961

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: João Castaldi del Ruccillo

Dyrektor: Stanisław Biliński

REDAGUJE ZESPÓŁ: Mira sławińska (sekretarz redakcji),
Stanisław Koszutski, Roman Sładowski, Seweryn A. Hartman
(redaktor naczelny).

Wydaje: Sociedade Brasileira de Expansão Comercial Ltda.

Redakcja i administracja: rua Barão de Itapetininga, 221
conj. 1203 - Fone: 35-5584 - Cx. P. 6335 - S. PAULO, Brasil

Warunki prenumeraty: 300 Cr\$ rocznie (za 6 numerów)

Za granicą US \$ 2,00

Rękopisów i zdjęć niezamówionych redakcja nie zwraca.

Złożono i tłoczono w Drukarni "Ludu" - Kurytyba, Al. Cabral 846

INDÚSTRIA DE REVESTIMENTOS TERRABONA LTDA.

REBOCAL — massa fina para interno e externo, preparada
com quartzito puro.

GRANILITE — executamos todo e qualquer serviço.

MASSAS PARA FACHADAS — fornecemos e executamos servi-
ços em raspada - lixada - batida - lavada, -
imitação de travertino.

PISO ROMANO — execução em caco de mármore perfeitas.

ESCRITÓRIO: Rua Sete de Abril, 264 - 12.º - S/ 1206 — TELS.: 36-8772 — 37-7336

FABRICA: Avenida Pavão, 955 — TEL.: 61-3191 (Indianópolis) — SÃO PAULO.

TACY SĄ NIEMCY

WŁODZIMIERZ DOŁĘGA OTOCKI — São Paulo

II.

Zwycięstwo pod Płowcami i Grunwaldem odsunęło na pewien czas niebezpieczeństwo zagłady narodu polskiego przez pracę na wschód wojującą niemczyznę.

Po katastrofie militarnej w r. 1918 Niemcy starali się wzbudzić współczucie dla siebie i uspić Europę "nawróceniem" na drogę pokoju i prawa.

I także Polacy po odzyskaniu niepodległości zapomnieli o niebezpieczeństwie niemieckim. Nikt z nas nie liczył się z wojną na Zachodzie. Przebudzenie w r. 1939 było straszliwe. Zrozumieliśmy, niestety, po nieważnie, że wojna z Niemcami to nie wojna polityczna, jak Niemiec z Anglią i Francją, lecz wojna o całkowitą eksterminację narodu polskiego. Niemcy niszczyli siły biologiczne narodu, pamiętki z przeszłości, kulturę i usiłowali wznieść demoralizację dla tym łatwiejszej likwidacji narodu.

Już w r. 1918 czołowi przywódcy bankrutującego imperium niemieckiego trwożą się ewentualnym wzmocnieniem uświadomienia narodowego Polaków w Niemczech.

I tak marszałek Hindenburg pisze w raporcie do Rządu Niemieckiego w r. 1918 (nr. 32583 P z dn. 5 lipca 1918 r.): "Ludność polska przedstawia dla naszego pochodu na Wschód (Drang nach Osten) to samo niebezpieczeństwo; powinniśmy zatem, uciekając się kolonizacji niemieckiej, stworzyć załudnienie godne zaufania w 'pasie granicznym jako wał ochronny pomiędzy przyszłym Królestwem Polskim, a Polakami pruskimi."

W dalszym ciągu radzi:

"Należy oczyścić z obcych żywiołów pogranicze, aż po linię nadającą się do obrony wojskowej i zgermanizować strefę czołową (Vorland), uzyskaną przez przesunięcie granicy."

Z kolei, mówiąc o sumieniu niemieckim, twierdzi:

"Nowoczesne sumienie prawnicze uległo zmianom w kwestiach wolności i własności prywatnej. Głęboko sięgające interwencje państwa w życie osób prywatnych i w ich prawo własności, uchodzą dzisiaj jako oczywiste prawo państwa."

Trzeba przyznać, że Hitler zrealizował na wielką skalę postulat tego "sumienia prawnogermanskiego".

Następnie, Rosenberg, nowoczesny wieszcz sumienia niemieckiego, pisze w "Der Zukunftsweg einer deutscher Aussenpolitik" (Monachium, 1927) str. 18:

"Wszystkie kraje od Łaby po Narew są krajami, które Niemcy muszą skolonizować. Uznanie faktu, że naród niemiecki, jeśli nie ma zginąć... potrzebuje ziemi dla swoich teraźniejszych i przyszłych pokoleń i pogląd, że... ziemi te nie mogą być zdobyte w Afryce, lecz muszą być uzyskane w Europie i przede wszystkim na wschodzie Europy — stanowi zasadniczą treść niemieckiej polityki zagranicznej dla nadchodzących stuleci."

"Z tego stwierdzenia wynikają zasadnicze zagadnienia jakie państwa będą się sprzeciwiać poważnemu rozszerzeniu się Niemiec w stronę Polski."

I dalej tenże Rosenberg powiada w "Der Mythos des 20. Jahrhunderts Eine Wertung des seelisch-geistigen Gestaltenkaempfe unserer Zeit, Monachium, 1930:

"Człowiek nordycki nawet w brutalnych posunięciach poprzez walkę i śmierć stwarzał czystą atmosferę promieniującą z jego świadomej honoru istoty" (str. 542)... "Tylko w narodzie, posiadającym władztwo nad wyściskającym rozmiarem przestrzeni życiowej, honor jest siłą witalną"... Dlatego kościół katolicki, ani Judasz, odcięci od ziemi, nie mają honoru, albo raczej (kościół i żydostwo) nie znają tej idei i stąd nie pragną ziemi".

Nic albo bardzo mało zmieniło się w Niemczech pod tym względem po drugiej wojnie światowej. Deklamacje o zasadach chrześcijańskich, głoszone przez Rząd Adenauera, w dziwny sposób kojarzą się z odrodzeniem militarysty i propagandą rewanżu, co całkowicie pozbawia te deklamacje pozorów szczerości.

W r. 1945 (w maju) admirał Denitz w następujących słowach szkicował program działania niemieckiego:

"Nasza linia polityczna jest jasna. Musimy współpracować z państwami zachodu, gdyż jedynie współpracując z nimi możemy żywić nadzieję, że odbierzemy później nasze ziemie Rosjanom".

A pisarz wojskowy Joachim Nehring w "National-politisches Forum" mówi dla odmia-

ny o konieczności porozumienia się z Rosją, nigdy zaś z Polską.

Ażeby zamydląć oczy Niemcy stosują w stosunku do swoich rewindykacji rzekomą taktykę pokojową. W niemieckiej prasie brazylijskiej dn. 12 sierpnia 1960 r. można było np. przeczytać takie sielankowe myśli:

"W Poczdamie dokonany został przewidywany podział granic (Odra i Nysa). Polska pragnie, aby ten podział był trwały. Rząd niemiecki wie o tym dobrze i rozwiąże ten problem bez użycia siły."

Brzmi to może dziecinnie i naiwnie, ale przecież Niemcy mają praktykę w "dziecinnych zabawach".

Porównajmy cytaty z wypowiedzi Hitlera: "Niemcy nie pójdą inną drogą, niż tą, którą wytyczyły traktaty." Naród niemiecki nie ma zamiaru dokonać napaści na jakikolwiek kraj. "Niemcy nigdy nie naruszają pokoju europejskiego".

A w r. 1938:

"Rozumiemy, że oba nasze narody (Polska i Niemcy) muszą żyć obok siebie, że żaden z nich nie może zniszczyć drugiego".

Honor marszałka niemieckiego Goeringa (byłego sprzedawcy kokainy w barach) nie różni się od tradycyjnego honoru niemieckiego, znanego nam w ciągu wieków. Goering lubił się również wypowiadać pokojowo. Oto co np. powiedział na pewien czas przed napaścią niemiecką na Czechosłowację:

"Niemcy nie mają żadnej wrogich zamiarów wobec Czechosłowacji. Daję słowo honoru, że pragniemy tylko lepszych stosunków między obu naszymi krajami".

Szereg poważnych osobistości politycznych w okresie Monachium dało się nabrać na te "dziecinne" zapewnienia "dobrodusznym" Niemcom. Wkrótce potem w r. 1939 400 milionów ludzi w Europie poznało ryk Tora, boga wojny Germanów.

(Dokończenie na str. 2)

ODSZKODOWANIA NIEMIECKIE

Dobrze się stało, że w poprzednim numerze "Przeglądu Polskiego" pewien czytelnik z Rio zajął krytyczne stanowisko wobec poglądów Mieczysława Lepeckiego na sprawę odszkodowań niemieckich, wyrażonych w jego książce: "Z gwiazdy na gwiazdę", (str. 287). Głos ten daje nam bowiem podstawę do szerszego naświetlenia problemu odszkodowań z punktu widzenia polskiego.

Przed wszystkim zaznaczyć należy, że sprawy odszkodowań nie można ani generalizować, ani upraszczać. Dali temu stanowisku wyraz sami Niemcy, traktując odmiennie swe ofiary, faworyzując jednych, krzywdząc drugich. Tak jak gdyby utrata zdrowia, lata w obozach koncentracyjnych, utrata najbliższych członków rodziny poszkodowanego, nie były tytułem do równego odszkodowania dla wszystkich poszkodowanych bez względu na religię, rasę i narodowość.

Z tego stanu rzeczy wynika, że Niemcy nie przyznają odszkodowań w zamiarze symbolicznego choćby naprawienia krzywd. W rzeczywistości płacą odszkodowania na skutek nacisku opinii światowej, głównie Stanów Zjednoczonych, jednocześnie zaś zmierzają do poróżnienia milionów poszkodowanych drogą odrzucania pretensji jednej grupy i uznawa-

nia, a nawet forytowania innych grup.

Sama zaś strona moralna odszkodowań była przed laty przedmiotem gorących dyskusji w Izraelu, gdzie poważna część poszkodowanych nie chciała swych moralnych pretensji zamienić na brzęczącą monetę.

Stanowisko to zgodne było z postawą setek tysięcy rozproszonych po świecie Europejczyków, ofiar bestialstwa hitlerowskiego, którzy zachowali dla narodu niemieckiego tylko uczucie pogardy. I kosztem choćby najwspanialszych odszkodowań nie pragną nawiązania kontaktu z narodem, splamionym oddaniem władzy w ręce Hitlera i jego z podziemia moralnego rekrutujących się współpracowników, z narodem, który w chwilach przejściowego zwycięstwa tolerował milcząco wymordowanie milionów Żydów i inteligencji podbitych narodów. Nie da się zaprzeczyć, że stanowisko to ma pewne uzasadnienie wobec czego poglądów Lepeckiego nie można bez zastrzeżeń potępiać.

W rezultacie wydaje się słuszne by każdemu poszkodowanemu przez przemoc niemiecką pozostawić swobodę uznania, czy należy ubiegać się o odszkodowanie.

(Dokończenie na str. 4)

KRAINA ŚMIERCI

JAN KRAWCZYK

Ceará jest jednym z północnych stanów Brazylii, słynnym z dwóch rzeczy: katastrofalnej posuchy i księdza Cicero. Za życia przypisywano ojcu Cicero moc czynienia cudów. Nawet obecnie u jego grobu w Juazeiro dzieją się jeszcze dziwne sprawy, które podawane z ust do ust urastają do rozmiarów nadprzyrodzonych. Miejsce wiecznego spoczynku księdza odwiedzane jest stale przez kabokli, szukających ulgi dla swych cierpień. A ponieważ jest to kraina niemal bez przerwy nawiedzana przez nieszczęścia, cierpiących nie brak.

W Ceará istnieją tylko dwie pory roku — zima, czyli krótki okres deszczowy i lato — wielomiesięczna posucha. Jeżeli podczas zimowych deszczów ziemia nie nagromadzi dostatecznej wilgoci to w lecie na nieszczęsnych mieszkańców interioru spada klęska. Najpierw wysychają pastwiska, później plantacje bawełny, wreszcie wszelka roślinność stanowiąca t. zw. caatingę. Nieliczne strumienie nikną wysysane przez słońce, które z poblądnętego nieba leje rozpalonym ołowiem. Prawdziwych rzek jest tu bardzo mało, wiele się natomiast spotyka koryt rzecznych, wypełnionych białym piaskiem. Woda tam płynie jedynie po gwałtownych ulewach. Na pustyni utrzymują się jedynie przy życiu kaktusy zwane xique-xique.

Z braku paszy i wody bydło chudnie i zdycha. Caatinga pełna jest zwierzęcych szkieletów.

Najbardziej uporczywie trzymającą się życia istotą jest człowiek. Codziennie patrzy w niebo, oczekując zbawczych chmur, zapowiadających deszcz. Czeką, chociaż wokół niego rośnie pustynia; czeka wbrew przeświadczeniu, że nawet jeśli pokropi deszcz nie uratuje to już niczego; czeka dopóki nie wyczerpią się wszelkie środki żywności i śmierć nie zajrzy w oczy. Odżywia się jeszcze korzonkami, kaktusem xique-xique, nie łagodzącym głodu ale zwiększającym go i powodującym kurecze żołądka.

Kiedy śmierć zaczyna już zbierać swe żniwo człowiek opuszcza sadyby.

Ludzie - cienie obładowani mizernymi tobołkami, idą gdzie oczy poniosą do okolic nie nawiedzanych przez posuchę. Po drodze padają jak muchy z wycieńczenia, głodu i pragnienia.

Po pierwszym deszczu wracają na stare śmiecie i z niespotykaną u innych istot zaciętością przewracają ziemię, spulchniają ją, sadzą, sieją i czekają na plon. W zależności od opadów ziemia wyda owoce lub nie. W tym ostatnim przypadku rozpoczyna się znowu wędrówka tym razem do dalszych okolic.

W upalne dni wędrowcy odpoczywają gdzie się da, nawet w cieniu wyschniętych drzew. Nocą zaś wędrują pod pogodnym niebem wdychając suche, pustynne powietrze. Mijają wyludnione osady, szkielety zwierząt i trupy ludzi przysypane do połowy piaskiem. Wędrowce tej towarzyszy w dzień słońce, a w nocy pęsejne niebo, rozbłyskujące na horyzoncie dalekimi błyskawicami, nie zwiastującymi, niestety, deszczu.

Wędrówki odbywają się co roku z różnym nasileniem. Dziesiątki tysięcy ludzi ucieka przed posuchą nie tylko z Ceará, ale i z innych stanów: Piauí, Rio Grande do Norte, Pernambuco, Paraíba i Alagoas. Rządy stanowe starają się przyjąć z pomocą uchodźcom i w tym celu prowadzą ich po innych regionach kraju. Swego czasu wysłano kilkadziesiąt tysięcy ludzi do wilgotnej Amazonii, w lasy kauczukowe. Zmarło tam wówczas 70 proc. osiedleńców od malarii i innych chorób leśnych. Obecnie uchodźcy na tyle zmądrzeli, że nie pozwalają się uwozić z ramion jednej śmierci w objęcia drugiej. Udają się na południe kraju do Rio de Janeiro, São Paulo, Parany, a nawet do Rio Grande do Sul — pieszo, na grzbiecie muła, na dwukołowych karosach, samochodach ciężarowych i koleją.

Zagadnienie posuchy wyłoniło się jeszcze w czasach imperium za cesarza D. Pedro II. Zapoczątkowano wówczas w okolicach nawiedzanych przez posuchę budowę sztucznych zbiorników wody i rozplanowano cały system nawadniania terenów przekształcających się w pustynię. Prace te trwają dotychczas. Z jakim skutkiem? Kabokle twierdzą, że rząd faworyzuje wyłącznie wielkich obszarników, nie troszcząc się o biedaków. Zagadnienie irygacji staje się zawsze aktualne w przeddzień wyborów. Po wyborach przycicha, aby nabrać rumieńców życia, gdy zbliżają się następne.

Nie też dziwnego, że w tych warunkach zdarzają się niekiedy napady rabunkowe, przeważnie w celu zdobycia pożywienia.

Ludność miejscowa — mieszanina trzech ras: białej, czarnej i czerwonej — jest ambitna, pracowita i uparta, a przede wszystkim — uczciwa. Pustynny interior jest jeszcze częściowo zamieszkały, chociaż warunki życiowe ulegają z roku na rok pogorszeniu. Ludzi tych trzyma na miejscu głęboko zakorzenione umiłowanie miejsc rodzinnych. Jeżeli ktoś opuści je, zmuszony do tego klęską posuchy, to po pewnym czasie czyni wszystko, aby wrócić do swego pago — (miejscu rodzinnego).

Niedawno spotkałem jednego takiego nordestina, umierającego z tęsknoty

za swoim kątem rodzinnym. Przemawiając śpiewnym akcentem wyznał ze szczerością:

— Nie dla mnie to życie na południu. Ludzie tu poza pieniądzem nic innego nie widzą. Żyją wyłącznie dla zrobienia majątku. A tam nordestino jest przede wszystkim człowiekiem. Przygarnie cię, nakarmi, pocieszy, poradzi, serce swe otworzy. Na każdym kroku napotkasz życzliwość i ta życzliwość uczyni twe życie miłszym i jaśniejszym. W każdym człowieku ujrzyś brata i sprzymierzeńca. Człowiek nie jest u nas zachłanny i zadowala się tym co ziemia da. Cieszysz się tym i dzielisz z innymi. Nadejdzie wieczór — usiądziesz pod gołym niebem, popatrzyś na gwiazdziste niebo i tak ci serce zacznie się rozczulać, że zagrasz na violi, a dźwięki jej uczynią cię szlachetniejszym, czulszym na niedolę ludzką i zbratają ze wszystkimi. Tu tego na południu kraju nie ma. Każdemu jesteś obcy, obojętny, potrzebny tylko wtedy gdy chodzi o twoje ręce do pracy i mogą cię porządnie obłupić. Jak uzbieram trochę pieniędzy wrócę do domu.

Czy jednak wróci? Dzieli go od domu przestrzeń ponad trzech tysięcy kilometrów, na co trzeba i czasu i pieniędzy. Chyba, że zaryzykuje własne nogi i pójdzie pieszo. Po powrocie czeka go znowu posucha, wzrastająca nędza i głód, która w końcu zmusi do ucieczki z piaszczystego piekła, tym razem zapewne na stałe.

Tacy są Niemcy

(Dokończenie ze strony 1)

Lord Vansittart podaje rozmowę z wybitnym dyplomata niemieckim z jednym z krajów neutralnych w czasie ostatniej wojny. Dyplomata ów zapytany co zrobią Niemcy, jeżeli przegrają wojnę, odpowiedział:

„Będziemy organizowali współczucie.”

Wierzęcie mi, oni potrafili to zrobić.

Historia się powtarza. Jeszcze nie zdążyły obrosnąć mchem groby alianckich żołnierzy, poległych w czasie wojny, i cywilów, zamordowanych w obozach koncentracyjnych, a już wielu polityków zachodnich stawia kartę na „dobrego” Niemca. Niemcy udowadniają, że jeden Hitler był winien wojnie i rzezi masowej w Europie. Biedne 80-milionowe Niemcy zostały sterroryzowane przez byłego kelniera kasyna i kaprała od taborów.

I oto przekonani alianci pozwalają na ponowne uzbrojenie Niemiec. Siła zbrojna nowej Rzeszy odradza się jak Feniks z popiołów.

Słowa ostrzeżeń są jak głos wołającego na puszczy.

Napróżno znakomity znawca duszy niemieckiej, lord Vansittart, zwraca się do polityków świata:

„Strzeżcie się, żeby nie zainscenizowano nowej niemieckiej poprawy. Nie uważajcie niczego za pewne dla dobra własnego, dla dobra waszych dzieci. Nie dawajcie wiary słowu niemieckiemu. Nie dawajcie się olśnić... literaturą niemiecką, medycyną, muzyką i filozofią... Jedyną rzeczą ma wagę. Fakty agresji są oczywiste i nie wymagają żadnej dyskusji. Będzie to waszą winą, jeśli pozwolicie im na jeszcze jedną.”



Paczków. Na pierwszym planie baszta obronna, w głębi kościół z XIV w.

Któż z nas, urzeczony pięknem historii, nie marzył, żeby chociaż na chwilę cofnąć się w czasie i znaleźć się w jakimś średniowiecznym mieście. Któż z nas nie widział we śnie potężnych baszt i rycerzy w zbrojach, któż nie oglądał w marzeniach, jak o zmroku ze zgrzytem łańcuchów podnoszą się do góry zwodzone mosty? No cóż, takie marzenia nigdy się nie spełniają...

Czy naprawdę nigdy?

— ★ —

Szosa z Opola prowadzi na południowo-zachód terenem prawie zupełnie płaskim. Już jednak po dwóch godzinach jazdy lekko sfalowanie pól zapowiada niedalekie sąsiedztwo sudeckich gór, które coraz wyraźniej rysują się na horyzoncie. Niemodlińskie bory dawno zostały za nami, toteż jedynym ożywieniem zamkniętego dalekimi górami krajobrazu są grupy drzew w mijanych osadach. Wzrok wypapuje w oddali te kępy zieleni, kryjące pod sobą skupisko domów. Lecz oto jeden z takich zielonych wieńców nie zdołał w pełni zakryć ludzkich osiedli. Aż ponad korony drzew wystylają wieże budynków jakiegoś miasta.

Jeszcze parę kilometrów jazdy i zagadka się wyjaśnia. Na żółtej tabliczce autobusowego przystanku widnieje napis: Paczków. I teraz zaczyna się seria niespodzianek. O kilkanaście kroków dalej wznosi się doskonale zachowana walcowata wieża. Lecz to dopiero początek. Pomiędzy domami, ukryte w zieleni, przezierają mury z szarych glazów. Pewnie jakiś ocalały fragment średniowiecznej fortyfikacji. Podobne można obejrzeć w niejednym co starszym grodzie...

Idziemy promenadą u podnóża murów. Droga się dłuzi, a końca fortyfikacji nie widać. To nie jakieś smętne szczątki systemu obronnego. Mury opasują najstarszą, centralną część Paczkowa prawie nieprzerwanym pasmem! Co kilkadziesiąt zaś kroków wznoszą się nad warstwami kamieni doskonale zachowane półbaszty w kształcie półwałców, nakrytych ceglanyimi stożkami lub ostrosłupami.

Kamienne fortyfikacje szczerze odgradzają Stare Miasto od nowych dzielnic. Z wyjątkiem niewielkiego rozebranego odcinka murów — do centrum można dostać się tylko w pobliżu trzech zachowanych wież bramowych: Wrocławskiej, Kłodzkiej i Ząbkowickiej.

Brama Kłodzka jest wysoka, walcowata, zakończona skromnym grzebieniem renesansowych blanków, zza których wystrela ostry, strózkowaty dach. Brama Ząbkowicka, również walcowata, bez dachu, nazywana jest także Wieżą Głodową, służyła bowiem jako miejsce kaźni skazanych na śmierć. Delikwenta spuszczano w głąb wieży przez otwór wysoko umieszczony i pozostawiano do czasu, aż zginął z głodu.

I wreszcie ostatnia brama — Wrocławska. Najokazalsza z wszystkich trzech siostrzy, strzegących wejść do grodu: czworoboczna, z przejściem u dołu, z zębatymi blankami i spiczastym dachem.

Lecz to jeszcze nie koniec niespodzianek. Oprócz baszt i koliska wysokich murów do systemu fortyfikacji miejskich włączono nawet kościół. Ta XIV-wieczna budowla wcale nie przypomina na pierwszy rzut oka świątyni i niewiele ma ze strzelistości panującego w tamtych czasach gotyku. Jest typową budowlą obronną. W grubych murach, wzmocnionych gęsto rozstawionymi przyporami, okna umieszczone są bardzo wysoko, podobnie jak i front bogatego portalu ostrołukowego. Nietynkowane mury wieńczy pozioma attyka ze strzelnicami. Za attyką biegnie na murze tego kościoła-fortecy chodnik strzelecki, a parapety strzelnic są wytarte od częstego używania dział. Jak widać, modlitwy wiernych nie jeden raz przerywał huk wystrzałów... A kiedy wrogowi udało się sforsować mury obronne miasta, załoga zamknięta w ufortyfikowanym kościele musiała nieraz bronić się przez wiele dni. Pamiątką jednego z takich oblężeń jest znajdująca się w prawej nawie studnia, zwana "tatarską", wykonana — jak głosi legenda — przez obrońców w czasie najazdu Tatarów.

W historii wielu miast powtarza się ten sam ustęp: "Miasto rozwinęło się dzięki położeniu na skrzyżowaniu ważnych szlaków handlowych, prowadzących do..." itd. Paczków nie zawdzięcza swej kariery względom gospodarczym. Główny szlak sudecki, prowadzący przez Nysę, Otmuchów, Kamieniec i Zgorzelec — zostawiał go wyraźnie na ubożu. Inne trakty miały znaczenie tylko lokalne.

O rozwoju Paczkowa zadecydowały względy militarne. W 1254 roku biskup wrocławski, Tomasz, nadał słowiańskiej osadzie prawa miejskie, a dalszymi przywilejami obdarzył Paczków jeden z Piastów Świdnickich — Bolko I, zwany Surowym. W ciągu następnych lat miasto stopniowo fortyfikowano, włączając je do systemu warowni broniących granicy księstwa na linii Nysy Kłodzkiej. W połowie XIV stulecia Paczków opasany podwójną linią murów obronnych i fosami, najeżony trzydziestoma basztami w pasie wewnętrznym i trzema, o wiele potężniejszymi, w pasie zewnętrznym — stał się potężną warownią. Ponadto na wzgórzu od wschodu stał zamek, po którym dziś już nie pozostało żadnych śladów.

Miasto żyło pod znakiem wojen. Co pewien czas oblegane, wychodziło czasem zwycięsko, częściej jednak padało ofiarą łupieży i pożaru. W 1428 roku zniszczyli Paczków husyci. Wkrótce potem rozpoczęły się bratobójcze walki Piastów śląskich. Uciekali mieszkańcy z miasta wiecznie narażonego na ciężkie oblężenia. Zawieszały działalność cechy rzemieślnicze. Bez przerwy natomiast pracowały okoliczne kamieniołomy, które dostarczały kamienia do naprawy i wzmocnienia murów. Z pobliskich zaś cegielni szły materiały do przebudowy kościoła, który po roku 1520 otrzymał ostatecznie kształt zwartej bryły-fortecy. Wszystko na próżno: w czasie wojny trzydziestoletniej gród został znów kilkakrotnie splądrowany i spalony.

Mijały lata. Wojenne szlaki zaczęły jakoś omijać stary Paczków. Zmieniły się zresztą sposoby wojowania. Wydawało się, że mury obronne są już nikomu nieprzydatne. Tymczasem po pierwszej wojnie światowej zaczęli do tego miasta, zastygłego w urodzie kruszącej się warowni, zjeżdżać turyści. Sporo pieniędzy z kieszeni obcokrajowców pozostało w wojowniczym niegdyś Paczkowie, zamieszkałym teraz przez spokojnych rentierów.

Ostatnia wojna też złitowała się nad miastem — fortecą. Prawie nienaruszony Paczków wrócił do Polski. Zaludnił się, rozrósł i znów wita licznych turystów, oznaczony w baedekerach jako "Polskie Carcassone".

— ★ —

Trudno jest rozstać się z tym pięknym miasteczkiem. Jeszcze ostatnie spojrzenie na ratusz z renesansową wieżą, na odnowione stare kamieniczki mieszczańskie z barokowymi szczytami, otaczające rynek, na wieżę kościoła-fortecy oświetloną zachodzącym słońcem. I jeszcze jeden spacer dokoła Starego Miasta, spacer zielonymi plantami wzdłuż fortyfikacji. W zapadającym zmroku, w ciszy wieczoru, otoczony murami Paczków zdaje się wracać do swej postaci sprzed paru wieków. Mury, baszty i wieże, które przed wiekami nie spełniły pokładanych w nich nadziei obrońców — dziś pozwalają nam zrealizować marzenia: zobaczyć średniowieczny gród.

Poruszone wiatrem gałęzie drzew rzucają tajemnicze cienie na mury i baszty. Cienie drgają, przybierają kształty jakichś postaci... Popuśćmy wodze fantazji. Może to znów na murach pojawili się strażnicy zakuci w zbroję?... Niech nam się więc zdaje, że musimy szybko opuścić miasto, zanim zgryźną łańcuchy podnoszonych na noc zwodzonych mostów...

Tomasz Chłudziński.

Polskie Carcassone

Jeszcze o odszkodowaniach dla kacetowców

Nowy Wysoki Komisarz N. Z., Szwajcar, dr. Schnyder, zwołał w dniu 14 marca pierwsze zebranie komitetu doradczego do Pałacu Narodów w Genewie.

Obrady Komitetu otworzył dr. Schnyder. Następnie dr. Weiss zobrazował prace przygotowawcze, prowadzące do wykonania układu oraz podał do wiadomości tekst ogłoszonego równocześnie wspólnego komunikatu rządu w Bonn i urzędu Wysokiego Komisarza, dotyczący zarówno uruchomienia akcji funduszu jak i postępowania odszkodowawczego przed federalnym urzędem administracyjnym w Kolonii z tytułu utraty zdrowia przez narodowo prześladowanych. Przepisy wykonawcze ma rząd NRF wydać w ciągu kwietnia. Wnioski odszkodowawcze kierować można już od tej chwili.

Dalej dr. Weiss omówił zasady i organizację funduszu, przedstawiając zebranym wytyczne te na piśmie. Wnioski o odszkodowania na specjalnych formularzach kierowane być mają do administracji funduszu jako specjalnego biura odszkodowawczego Wysokiego Komisarza. Od decyzji administracji funduszu służy poszkodowanym odwołanie do wydziału odwoławczego. Przy wypłatach z funduszu uwzględniony będzie rozmiar doznanych cierpień, wiek poszkodowanych i ich obecna sytuacja materialna. Wnioski odszkodowawcze, wysyłane bezpośrednio lub przez narodowe organizacje kacetowców do urzędu Wysokiego Komisarza — Palais de Nations, Geneve — nie wymagają pomocy prawnej. Wymagają jej odszkodowania za zdrowie utracone, wnoszone do urzędu administracyjnego w Kolonii.

Nie wszystkie zasady, reprezentowane przez urząd W. K. odpowiadają poglądom kacetowskich organizacji, reprezentowanych w Komitecie doradczym. Dał temu wyraz w imieniu polskich organizacji uchodźczych adw. Chmielewski, wysuwając konieczność szerszej kompetencji Komisji doradczej, która winna objąć całokształt zagadnień narodowo prześladowanych, ujęty w układzie z rządem niemieckim, w szczególności również zagadnienia odszkodowań za zdrowie i uszkodzenia cieleśne przed niemieckimi urzędami. Przypomniał również bezprawność dyskryminacji, zastosowanej do narodowo prześladowanych — z których większość stanowią Polacy — przez wielkie koncerny przemysłowe I. G. Farben Industrie i Kruppa,

apelując do Wysokiego Komisarza, by i w tej sprawie podjął odpowiednią akcję. W końcu zwrócił uwagę Wysokiego Komisarza i Komitetu doradczego na dalszą nieprzychylną atmosferę — już po układzie paździenikowym dla narodowo prześladowanych — zarówno urzędów odszkodowawczych jak i sądów niemieckich. Z tych też powodów odpowiednia obsada personalna tworzącego się nowego urzędu w Kolonii powinna być przedmiotem szczególnej troski.

(E. Z. N.)

ODSZKODOWANIA NIEMIECKIE

(Dokończenie ze strony 1)

dowanie z rąk spadkobierców bandytyzmu hitlerowskiego. Mimo, że o wysokości t. zw. odszkodowania decyduje, o dziwo, nie pokrzywdzony, lecz przestępca!

Niemcy odmawiali do niedawna Polakom wszelkich praw do odszkodowań indywidualnych, motywując to stanowisko brakiem traktatu pokojowego. Na tej podstawie odmówili też niedawno udziału w kosztach leczenia kobiet polskich, ofiar doświadczeń "lekarzy" hitlerowskich. Burza, jaką krok ten wywołał w opinii międzynarodowej, była prawdopodobnie powodem teoretycznego przyznania prawa do odszkodowania Polakom, rozproszonym po świecie. Jest to jednak dosłowna kropla w morzu, gdyż mizerny ochłap, przyznany na ten cel przez rząd Adenauera, nie stoi w żadnym stosunku do słuszych roszczeń polskich. Nie rozwiązuje też nadal sprawy indywidualnych krzywd materialnych, poniesionych przez Polaków w okresie okupacji hitlerowskiej. W tym wypadku nie chodzi też o żadne "odszkodowanie", a

po prostu o zwrot walorów zrabowanych przez władze niemieckie i przedsiębiorczych członków "Herrenvolku".

Nie ulega wątpliwości, że zwrot łupu nie ma i nie powinien mieć żadnego związku z traktatem pokojowym. Zagadnienie to podpada raczej w zakres kodeksu karnego.

Ponad kwestię zwrotu dóbr materialnych wysuwa się jednak konieczność pomocy dla nieprzeliczonych tysięcy wdów i sierot, których żywicieli zamordował oprawca hitlerowski w ponurych dniach okupacji. W owych dniach przejściowego tryumfu naród niemiecki zapomniał, że Polacy i Żydzi to... też ludzie. Dziś ciąży na nim ciężka moralna odpowiedzialność za popełnione bestialstwa, za systematyczne deptanie praw ludzkich i boskich. I obowiązek naprawy krzywd.

Kiedys przed laty, gdy ze zmierzchu cesarskich Niemiec rodziła się republika weimarska, Fryderyk Ebert, pierwszy jej prezydent, nawoływał masy niemieckie do poszanowania człowieczeństwa i przestrzegania ustaw. Niestety, zapomniano wnet o słowach Eberta, zwyciężyła demagogia, pragnienie odwetu i ślepa nienawiść teutońska. W skutkach Niemcy utracili dziś poszanowanie w świecie, a na dobitkę wykręcają się w perfidny sposób od obowiązku naprawy krzywd. Zasłaniają się brakiem przepisów prawnych, które sami w okresie wojny tysiącrotnie złamali.

Czas wielki, by najwyższe hierarchie kościelne i rządy państw demokratycznych skierowały Adenauera na drogę PRAWA ludzkiego, w celu podjęcia przez naród niemiecki próby rehabilitacji moralnej poprzez naprawę krzywd, wyrządzonych Polakom.

Zygmunt Wieliczka.

ZABIERZ GŁOS W DYSKUSJI
O ODSZKODOWANIACH NIEMIECKICH



Companhia Comercial Construtora e de Administração

Avenida São João, 1086 — 4.º Andar — Telefone 36-7186 (rede interna) — SÃO PAULO

CONSTRUTORA

IMOBILIÁRIA

ADMINISTRADORA

Nós planejamos, projetamos, incorporamos, construímos, fiscalizamos, vendemos ou alugamos e, de ponta a ponta, todas as operações recebem a mais completa assistência de um Departamento Jurídico altamente especializado.

Trzeci szwadron otwiera ogień granatami mierząc przed pierwszy szwadron. Spelzamy spokojnie ze wzgórza. Obserwuję wciąż przed sobą pierwszy szwadron.

Nagle milczące i ciche do tej pory wzgórze Soignolle zakwita błyskami. Na całej jego szerokości, jak okiem sięgnąć, widać punkciki świetlne zapalające się co dwie-trzy sekundy. Pod każdym prawie krzakiem, pod każdym prawie drzewem mrugają ogniki. Jedne większe, inne malutkie. Wydaje się jak by ukazywały się nie przed, lecz pomiędzy czołowymi czołgami pierwszego szwadronu.

Nagle spostrzegam trzy lub cztery wielkie ognie w linii czołgów. Co to? czy otworzyli w ruchu ogień z dział?

Jasny, biały prawie płomień o czerwonym sercu nie posuwa się jednak poziomo, ale bucha pionowym słupem w górę. Po słupie ognia z czołgu wznosi się natychmiast gęsty, czarny dym.

Rany boskie! Oni nie strzelają, oni się palą!

Tak, widzę teraz płomienie i dym, kłębiące się z wież. Ludzie wyskakują z płomieni. Przez silną lornetkę widok ten wydaje się straszliwie wyraźny. Jak teatr marionetek oglądany w gorączkowych snach dzieciństwa.

"Barbara. Przede mną działa przeciwpancerne. Moja pierwsza linia się pali!"

Meldunek pierwszego szwadronu odbieram wśród bezustannego trzasku karabinów maszynowych w słuchawkach.

Tak, sam to widzę bez meldunku. Widzą to wszyscy, ale meldujący dowódca szwadronu nie spostrzega prawdopodobnie czegoś innego, co rozpoczęło się 5-10 sekund temu.

Z lewej i z prawej strony w przedłużeniu lizjery lasu, już z tyłu nacierającego szwadronu, ukazują się zapalające się co kilka mgnień błyski.

Nie są to właściwie błyski; raczej strumienie ognia przemierzane z tumanem kurzu. To strzelają 88-milimetrowe działa niemieckie, przeciwpancerne, przeciwlotnicze, przeciwdielne chyba. Precyzyjne jak zegarek i potężne jak szatan. Strzelają prawdopodobnie z pozycji ryglowej.

Spostrzegam trzy stanowiska z lewej strony pod lasem, nie mogę natomiast umiejscowić źródeł strzałów z prawej strony.

Każdy prawie strzał jest celny. Widzę jak biały płomień zrywa wieżę z jednego z palących się czołgów, gładko, jak pokrywę z dziecinnej zabawki.

SZARŻA POD CAEN

Te właśnie działa biją w szwadron, gdyż działa z przodu już nie błyskają wystrzałami. Umilkły, rozjechane zapewne przez pierwszy szwadron, albo obezwładnione granatami trzeciego szwadronu, który strzela nieprzerwanie przed, a nawet między czołgi własne.

Trzeci szwadron też nie widzi bocznych osiemdziesiątek óse-mek. Zakrywa je przed nim las.

Nie ma wyjścia! Zatrzymanie lub próba wycofania pierwszego szwadronu to w tej sytuacji koniec dla reszty wozów, które nie zostały jeszcze zniszczone. Pozostaje jedna tylko szansa...

"Barbara! Widzę wasze położenie. Jedyne ratunek — naprzód!"

Inna jest sytuacja jadącego ze mną drugiego szwadronu. Podchodzimy właśnie pod wzgórze Cramesnil. Szwadron zatrzymany na wzgórzu nie podzielił losu pierwszego szwadronu; może nawet odwrócić wszystko na naszą korzyść.

Wydaje rozkaz drugiemu szwadronowi:

"Ignacy! Zatrzymać dalszy ruch. Udać się na stanowiska na wzgórze przed wami. Barbara i Ignacy słucham."

Pierwszy szwadron kwituje odebranie rozkazu natychmiast. Drugi nie odpowiada. Przywołuję go ponownie i jeszcze raz — nie odpowiada. W międzyczasie mój pluton dowódcy posuwający się na prawym skrzydle drugiego szwadronu pakuje się w urwisko. Nie możemy się z niego chwilowo wydostać mimo, że Szmeller robi wszystkie możliwe sztuki, żeby wydobyć czołg z rozpadliny. Czołowe czołgi drugiego szwadronu, mające lepsze podejście, szybko mnie wymijają; druga ich linia podchodzi na moją wysokość.

Z tyłu z prawej strony spostrzegam ukazujące się czołgi 24-go pułku ułanów. Mają, oczywiście, za mało miejsca. Przyciśnięci naszym ruchem zły w prawo do wsi nie posuwają się obok nas, lecz prawie za nami.

Przywołuję wciąż przez radio drugi szwadron. Nie odpowiada. Natomiast ułani otwierają ogień z karabinów maszynowych.

Biją po nas. Oszałeli! Próbuje dawać im znaki chorągiewką, żeby przerwali ogień i jednocześnie mijającym mnie czołgom drugiego szwadronu, aby się zatrzymali na mojej wysokości. Co chwila chowam się jednak do wieży, gdyż pociski biją po pancerzu jak krople deszczu. Ułani nie widzą mnie zapewne.

Tańczę ten taniec św. Wita w wieży depcząc po głowie biednego Kube, który znosi to z anielską cierpliwością.

Wyrzebujemy się wreszcie z urwiska. Czołowe czołgi drugiego szwadronu i jego pluton dowódcy gnają już naprzód. Reszta szwadronu znajduje się jeszcze ze mną na wzgórzu.

Na przedpolu i dokoła nas piekło wybuchów. Bije w nas artyleria i moździerz niemieckie. Pierwszy szwadron pali się. Wydaje się, że płonie 16 czołgów. Słupy czarnego dymu tworzą nad pobojowiskiem zawieszoną chmurę. Kilka słupów ognia znajduje się na samym wierzchołku wzgórza Soignolle. A więc czołgi dotarły do przedmiotu natarcia!

Tak. Pierwszy szwadron pancerny wszedł na niemieckie pozycje, rozpedził piechotę, rozjechał piechotę, zgniótł gąsienicami palących się czołgów stanowiska dział. Ani jeden czołg jednak nie ocalał.

Dym coraz bardziej gęsty. W palących się czołgach wybucha najróżnorodniejsza amunicja. Granaty rwą się jak płomienne, gwiazdziste meduzy tuż u wjazdu wieżowego. Pociski przeciwpancerne płyną cienką czerwoną smugą. Małokalibrowa amunicja spala się białymi punktami. Dokoła czołgów pękają pociski niemieckie. Dokoła. Na nich, pod nimi... Jak grzmiała ulewa.

Drugi szwadron gna jak szalony w ten kocioł.

Wszystkie czołgi widzą co się dzieje z pierwszym szwadronem. Mimo to idą. Walą z otwartymi oczami, świadomie, straszliwie świadomie, na zagładę, gdyż mają rozkaz iść.

Nie ma tu odruchu, ani przypadku. Nie jest to psychoza tłumu. Nie niesie ich w nieznane pęd koni. Nie dopinguje ich fantazja tylko obowiązek, że nikt nie ma prawa zatrzymać się, ani cofnąć. Choć przysięgam — mogli to zrobić! Z pełnym uzasadnieniem i usprawiedliwieniem.

Ale nie! Woleli, wchodząc w piekielny kocioł, sięgnąć przez śmierć do wyżyn sławy jak ci spod Samossierry lub Cecory.

Idą! Biją ze wszystkich dział i karabinów. Pięciu ludzi w każdym stalowym pudle prowadzi walkę jak jeden człowiek.

Ładowniczy wrzucają do łuf pocisk za pociskiem. Wychwytyją gorące łuski zanim lufa wróci po strzale do pozycji i wyrzucają je z wieży. Oko przy lunecie, noga na pedale odpalającym, ciało stężone w uwadze. Strzelcy. Ucho ich łowi jedyny dźwięk w słuchawce: ognia! I zanim mózg przekaże rozkaz do wykonania noga naciska pedał i wstrząs wystrzału podrzuca czołgiem.

Dowódcy wyglądają jak spreżeni do skoku. Oczy szukają w terenie nieprzyjaciela i pilnują sąsiadów. Mikrofon przy ustach. Palec prawej ręki spoczywa na spuście karabinu w wieży.

"Kierowca, naprzód! Wieża w prawo! Ognia! Kierowca, naprzód do cholery! Naprzód!"

Pędzą zieleń wystrzałami. Zda się ziemia drży pod nimi w posadach. Zda się czołgom wyrosły skrzydła husarskie. Zda się roznieść wszystko.

Już pierwsza linia czołgów mija pierwsze rozbite shermany. Otula je dym.

Czołg ppor. Wernera wyprzedza mnie przy wychodzeniu z wyrwy. Werner dogania drugi szwadron i w tej chwili pocisk trafia w czołg. Załoga wyskakuje. Strzelec Szymański zabity, ppor. Werner ranny. Pchor. Papée kładzie się na niego chroniąc własnym ciałem, a później wlecze pod rozbity czołg.

STANISŁAW KOSZUTSKI

Dokoła jazgot granatów i pocisków moździerzy. Nadchodzą jedną nieprzerwaną nawałą, rwąc żółtość pszenicy. Czarne słupy ziemi wznoszą się co sekunda w górę. Nowy świst, nowy wybuch, nowy lądający pocisk i tak w kółko.

Odlamek odcina w moim czołgu podstawę anteny radiowej, pocisk przeciwpancerny obrywa latarnię rozpoznawczą.

W pobliżu mnie znajduje się jeszcze kilka czołgów drugiego szwadronu. Udać mi się zatrzymać je, zajeżdżając im drogę. Trzy z tych czołgów kierują w lewo przeciw niemieckim działom przeciwpancernym, strzelającym z boku. Stają na stanowiskach i rozpoczynają ogień. Ci Niemcy milkną.

Szwadron dragonów spiesza się z wozów. Masakruje go ogień artylerii i moździerzy. Broczący krwią rotmistrz Dudziński wydaje jakieś rozkazy. Pada rażony nowym odlamkiem granatu. Dragoni przylegają do ziemi lub czołgają się w tył. Palą się dragońskie *half-traki*. (1).

Reszta drugiego szwadronu pancernego rwie naprzód. Dojdą mimo wyrw w szeregach, gdyż ogień z boku ustał prawie, zduszony naszymi pociskami.

O, Boże! Na horyzoncie między palącymi się kadłubami kilku czołgów pierwszego szwadronu ukazuje się najpierw sześć, potem osiem, wreszcie dziesięć wież.

Niemieckie czołgi. Tygrysy lub pantery. Sylwetka rombowej wieży z łufą olbrzymiego dział. Czołgi drugiego szwadronu znajdują się od nich w odległości 200 - 250 metrów.

Trzeci szwadron, czuwający jak jastrząb nad polem bitwy, zauważył zapewne Niemców ze swego dominującego stanowiska. Granaty jego rwa się pomiędzy wozami niemieckimi. Mądrze działa por. Jakubiec.

Embeleze seu lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O
MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV
PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

Z sykiem suną pociski dymne, znacząc białą smugą ślad swój na niebie. Zbyt długo jednak suną, zbyt długo wyzwała się dym z pocisku uderzającego w ziemię. Ułamki sekundy grają tu rolę życia i śmierci.

Czołgi niemieckie otworzyły ogień. To koniec. Na nic praca trzeciego szwadronu. Po zrobieniu wszystkiego co było w ich mocy, aby wesprzeć towarzyszy broni, załogi, ogłuchłe od strzelania, mając lufy dział rozgrzane do czerwoności, przyglądają się biernie rzezi.

Ogień bucha z trafionych wozów. Ludzie wyskakują z płonących czołgów. Cali wyciągają rannych. Na rannych palą się kombinizony jak pochodnie. Pochodnia taka tarza się po ziemi, próbując ugasić na sobie ogień, lub biegnie jak oszalała przed siebie, strzepując płomienie z twarzy i ubrania. Żywe pochodnie, koszmarnie i groteskowe zarazem przez błazeńskie nie skoordynowane odruchy strasznego tańca. Biegają tak długo, aż nie skosi ich seria z niemieckiego karabinu maszynowego.

Niektóre palące się czołgi po wyskoczeniu załogi suną jeszcze naprzód. Może kierowcy wyskoczyli nie zatrzymując wozu, może noga trupa przyciska pedał gazu, może kierowca nie wie, że prowadzi już tylko żelazny piec cały w ogniu?... Są też czołgi jadące z zerwanymi wieżami. Te sprawiają mniej widmowe wrażenie, niż palące się.

Buchają również płomienie z dwóch czy trzech czołgów niemieckich trafionych albo granatami trzeciego szwadronu, albo jakimś cudem z pepanców szwadronu drugiego.

Patrzę na ten obraz jak zahipnotyzowany z gardłem ściśniętym grozą, jak żelazną obrożą.

Co to jednak? Wieże Niemców chowają się za wzgórzem. Czekam chwilę myśląc, że pojawiają się znowu. Ale nie. Widać obłok kurzu, znaczący ruch wozów. Odchodzą w lewo.

Czy przerażyli się palących się czołgów - widm, sunących mimo to i nie dających się zabić jak widma? Czy zostały przepędzone przez granaty trzeciego szwadronu? Czy w końcu mają dość krwawego żniwa? Na pytania te nikt napewno nie odpowie. Ale wzgórza, przedmiot natarcia, jest wolne. Pała się tam jedynie nasze czołgi. Kto ma zająć i utrzymać to wzgórze, kto ma posuwać się dalej, jak mówi rozkaz, nad rzekę Dives i na Falaise?

Dwa szwadrony pancerne właściwie wybite. Szwadron dragonów nie istnieje. Pozostaje wyłącznie trzeci szwadron. Jeżeli ten również szwadron poniesie straty to nie tylko Drugi Pułk Pancerny przestanie praktycznie istnieć, lecz przez powstałą po nas próżnię mogą przedostać się Niemcy, prowadząc przeciwnatarcie na Caen, a może nawet głębiej.

Ryzyko wprowadzenia do walki trzeciego szwadronu jest zbyt duże, tym bardziej, że natężenie ognia niemieckiego wzrasta.

Wydaje się, że skoncentrowali teraz na nas ogień całej artylerii odcinka. Jest to jedna zwarta ściana ognia, piekło.

Wybuchy pocisków, dym zasłony dymnej trzeciego szwadronu i dym z płonących czołgów zakrywają prawie całkowicie pole bitwy. Teren wygląda jak płonąca dżungla, gdyż pali się również pszenica.

Od czasu do czasu artyleria niemiecka przenosi ogień bardziej w tył. Znajdujemy się więc, to jest to co pozostało z pułku, w samym środku nawały.

Pocisk trafia tuż pod mój czołg. Pali się plandeka i siatka maskownicza. Przedtem pocisk oberwał nam reflektor. Odstrelona też została antena radiowa. Nie mam więc możliwości porozumiewania się. Zresztą z kim?

Koło mnie znajdują się trzy czołgi z plutonu dowódcy pułku i cztery - z pierwszego i drugiego szwadronu. Ustawiam te ostatnie frontem w lewo, a czołgi z plutonu dowódcy pułku w kierunku osi natarcia pułku. Prowadzimy ogień, gdy tylko pozwala widoczność.

Do postrzelonego porożca pułkowego ściągają teraz zdrowi i lżej ranni. Czołgając się. Cali ciągną przeważnie lub niosą rannych i poparzonych. Wloką się, przylegając co chwila do ziemi przed rozpryskującymi się odłamkami pocisków.

Poparzeni wyglądają strasznie. Czarne maski zamiast twarzy. Jęczą okropnie. Są zaszokowani bardziej, niż ci o ranach krwawych.

Zjawiają się też patroli sanitarne. Idą natychmiast na przedpole po ciężko rannych. Idą w ten diabelski kocioł gwiżdżących odłamków zbrojni jedynie w nosze i w torby z czerwonym krzyżem. Idą po tych, którzy nie mogą się nawet doczołgać.

Z przedpola dochodzą jeszcze trzy czołgi. Jest więc teraz razem 10 wozów (w tym 4 uszkodzone), wszystko co pozostało z rzutu nacierającego pułku (z 37 czołgów). Tworzymy małą redutę dla odparcia ewentualnego przeciwnatarcia niemieckiego i osłony ewakuacji rannych z pobojowiska.

24 pułk ułanów zajął stanowiska koło wioski. Artyleria niemiecka tłucze teraz głównie po nich. Spowija ich dym i wybuchy niemieckich ześrodkowań.

Po upływie półtorej godziny, kiedy mniej więcej wszyscy ranni zostali ściągnięci, decyduję się odejść do tyłu na stanowiska wyjściowe. Kolejno ruszają po trzy czołgi. Bierzymy na nie ciężko rannych.

Niemcy zauważyli widocznie nasz ruch. Biją bowiem znowu po nas, prawdopodobnie z otwartych stanowisk, ponieważ za każdą salwą pociski rwą się tuż przy czołgach.

Jerzy kieruje szoferem przez domofon: "Stój! Naprzód! W prawo! Szybciej!" itd., zmieniając wciąż szybkość i kierunek ruchu, idąc zygzakami, jak okręt w konwoju.

Kierowca Roland Szmeller pracuje jak zegarek. Wydaje się że to nie człowiek, lecz doskonale skonstruowany robot. Prowadzi czołg spokojnie, sprawnie, bez nerwów i zahamowań.

Myślałem później ile zależy w walce pancernej od sprawności kierowcy. Zły, strachliwy lub jedynie nerwowy kierowca to pewna śmierć załogi lub zniszczenie czołgu.

Kierowca to człowiek, który nie tylko musi błyskawicznie reagować na rozkazy dowódcy lecz niejednokrotnie uprzedzać jego rozkazy, aby wyprowadzić wóz z niebezpiecznej sytuacji, wybrać właściwą drogę lub stanowisko, gdy dowódca zajęty jest strzelaniem, obserwacją nieprzyjaciela lub rozmową telefoniczną. Od inicjatywy kierowcy zależy często kwestia życia lub śmierci załogi. W dodatku kierowca powinien być obdarzony nie tylko odwagą, inicjatywą, zimną krwią i szybką reakcją, musi też posiadać doskonałą znajomość rzemiosła walki.

Myślałem też jak kierowcy czołgów są krzywdzeni przy rozdzielaniu odznaczeń.

Ażeby otrzymać Krzyż Walecznych (nie mówiąc już o Virtuti Militari) żołnierz pancerny powinien dokonać indywidualnego czynu męstwa bądź wyróżnić się chwałobnie. Może to być uratowanie rannego kolegi, ocalenie czołgu, zniszczenie czołgu lub działa nieprzyjaciela, samorzutne wytrwanie na stanowisku w ciężkiej sytuacji itp. Wzorowe wykonywanie obowiązków w zespole w czasie walki nie wystarcza do odznaczenia. Normalnie może się więc wyróżnić dowódca, czasem strzelec. Kierowca nie ma do tego okazji, ani możliwości.

Stąd bardzo niewielu kierowców posiada odznaczenia bojowe, mimo wybitnych wartości żołnierskich jak: męstwo, zdecydowanie i zdolność do poświęceń. Kierowca zaś to członek załogi, który w razie trafienia czołgu i pożaru bywa najczęściej spalony żywcem.

Znam z tego powodu gorycz wielu doskonałych żołnierzy i dlatego tu o tym wspominam, aby oddać hołd ludziom, których obserwowałem w szeregu bitew, a którzy wskutek wadliwego postawienia sprawy odznaczeń noszą jedynie wstążeczki angielskie za... obronę Wielkiej Brytanii. Tak, za wywczas w betach szkockich - wstążki, a za trud bojowy i rany pod Caen, Cudchard lub Brede - wspomnienie ogólne w słabych wypocinach kronikarskich.

Owego dnia, 8 sierpnia, objawiła mi się po raz pierwszy postać pewnego kierowcy. Roland Szmeller był wspaniały.

Podchodzimy do lasu, zatrzymujemy się. Jest tu znacznie spokojniej. Meldują się u mnie Uściński, dowódca pierwszego szwadronu i Wielogórski, zastępca dowódcy drugiego szwadronu. Zdają mi raport. Obaj nie mogą jednak podać jeszcze dokładnie strat, ani też odtworzyć całkowicie przebiegu akcji.

Straty oceniamy na 27 czołgów (w rzeczywistości było 26) i około 80 ludzi rannych, zabitych i zaginionych (było 65).

Wśród oficerów brak m. in. dowódcy drugiego szwadronu, Zygryda Zawalskiego i zastępcy dowódcy pierwszego szwadronu, R. Sikory. Wielogórski mówi, że Zygryd wyskoczył z czołgu i został następnie ewakuowany do tyłu. W rzeczywistości popalony szkielec por. Zawalskiego znaleziono dopiero w kilka miesięcy później o sto metrów od jego spalonego czołgu. Palący się Sikora wyskoczył również został jednak posiekany prawie na strzępy z niemieckich karabinów maszynowych.

Dwa plutony pierwszego szwadronu: ppor. Komosińskiego (połegł) i sierż. Strzeleckiego (ranny) weszły na wzgórze Soignolle, przejechały okopy i zniszczyły działa przeciwpancerne. Oba te plutony zostały później całkowicie zniszczone.

Drugi szwadron nie otrzymał rozkazu zatrzymania się wskutek uszkodzenia radia w czołgu dowódcy szwadronu (odcięta odłamkiem podstawa anteny zaraz prawie po ruszeniu z miejsca).

ÚNICA ORIGINAL... AUTÊNTICA...

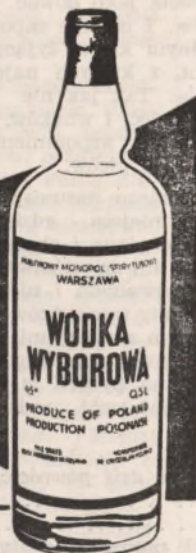
WÓDKA WYBOROWA

**Importada diretamente
da Polônia**

Experimente os deliciosos "cordials" e licores poloneses.

V. encontra nas boas lojas do ramo, tôdas as frutas polonesas em geleias e compostas de requintado sabor.

— incomparável
para
o preparo
dos
coquetéis



Exportadora Rollimpex - Varsóvia - Polônia

Representante em São Paulo: **IKA LTDA.** Rua 7 de Abril, 342 - Fone: 34-7730

Dowódca drugiego szwadronu i jego załogi widzieli co się dzieje z pierwszym szwadronem. Nie mając jednak zmienionych rozkazów szli naprzód, aby wykonać zadanie. Jaka ich pchała desperacka siła? Lepiej o tym nie myśleć. Szły te czołgi w gorejącą otchłań, gdyż wszystkie załogi wierzyły, że tak trzeba, że nie wolno się cofnąć.

Taka jest prawda o szarzy Drugiego Pułku Pancernego pod Caen.

Wojna tworzy legendy, zwykle tam gdzie się tego zechce i zwykle autorami ich nie są właściwi aktorzy i uczestnicy zdarzenia, ale ktoś z zewnątrz.

Czas zmienia fakty i ubarwia czyny — to właśnie pozwala na powstawanie ich czasem wbrew faktom. Opowieści te i pieśni są może potrzebne jako pożywka dla pokoleń, które przyjdą i będą się musiały znowu krwawić.

Ja, jako świadek naoczny i dowódca pułku, nie chcę tworzyć żadnej legendy. Podaję jedynie fakty i przebieg wydarzeń tak jak to działo się w rzeczywistości, bądź jak widziałem fakty i jak są zanotowane w kronice pułkowej.

Piszę dla wspomnienia żyjących i w hołdzie poległym żołnierzom nie tylko Drugiego Pułku Pancernego, ale całej Pierwszej Dywizji Pancerniej, o której walkach wie się dobrze, mało natomiast — jak walczyła.

Drugi Pułk Pancerny obrał 8-smy sierpnia jako swoje święto pułkowe, dumny jest bowiem z *czynu*, dokonanego w tym dniu roku wojny 1944-go.

Według oceny taktycznej pułk zadania bojowego owego dnia nie wykonał i poniósł olbrzymie straty. Można i tak patrzeć na to działanie.

Ale według oceny każdego żołnierza pułk zrobił wówczas więcej, niż we wszystkich innych późniejszych walkach. Pułk tj. każda załoga czołgu, każdy patrol rep., każdy żołnierz, każdy sanitariusz *chciał* wykonać zadanie, *chciał* świadomie wykonać *niemożliwe*, aby w pierwszym dniu wejścia do akcji Pierwszej Dywizji Pancerniej powiązać tradycje Kircholmu i Samosierry z dniem dzisiejszym.

Ten żołnierz, jak mówi Wyspiański: "siedział dalej, niżeli te szanice — on siedział w sen, we wieczność w mundurze polskiego żołnierza".

Wyjaśnienie:

Bombardowanie lotnicze zawiodło, gdyż lotnictwo zbombardowało przez pomyłkę zamiast Niemców własną artylerię. Stało się to na 15 minut przed ruszeniem Drugiego Pułku. Nie można już było zatrzymać jego działania i pułk poszedł jak miał nakazane, wpadając na główne umocnienia niemieckie.

Half-fraki — otwarte, półpancerne wozy na gąsienicach.

List z Polski

A. Chosłowska

Kołyszą się leciutko palmy daktylowe,
Gorący, suchy wiatr szeleści w liściach agawy...
... w rozdygotanych rękach dawno czekany list —
Z chmurnej, dalekiej Polski, z ukochanej Warszawy.

Prosty, zwyczajny list, a serca zerwał tamy...
Chciałbyś rzucić te piaski i nieba błękit gorący
I białe, rozgrzane mury i wiatr pustynny, palący
I iść znów ulicami, alejami Warszawy.

Nie ma już płaskich dachów, ni afrykańskich palm
Są szare, wiślane fale i tuki znajomych mostów,
Płowe, piaszczyste brzegi w ramie wodorostów,
Chropawość sędziwych murów i ulic znana dal.

Są wieże starych kościołów, strzelające wwyż,
Sędziwe kamieniczki — drzemiące na Starym Mieście,
Ciemne, laskawe Madonny w złotych wot asyście
I Chrystus pochylony — dźwigający krzyż.

Katedra, Kolumna Zygmunta i pałacyk Pod Blachą,
Zielona Saską Kępa — zbiegająca ku Wiśle,
Staw w Parku Skaryszewskim, błyszczący srebrzyście
I księżyc zadumany nad uśpioną Pragą.

Są długie, cieniste aleje i parki szumiące drzewami,
Wysmukłe, białe pałace — pamiątki dawnych lat
I gwarne, kolorowe, bez troski Nowy Świat
I Pole Mokotowskie — gwarzące nocą z gwiazdami.

I wiesz — że ci tu źle, obco, duszno i ciasno,
Chciałbyś rzucić to wszystko i iść powrotną drogą,
Na której końcu majączy — owiane mgłą szafirową
Twoje własne, rodzinne, najdroższe na świecie miasto.

FOTO SAWI

Henryk Wisen

Aparaty fotograficzne Rolleiflex, Leica,
Contax i inne.

Zamiana, kupno i sprzedaż
Najkorzystniejsze ceny!

Conselheiro Crispiniano, 40, — Telefone: 36-0670
SAO PAULO

Elektryczne instalacje przemysłowe
niskiego i wysokiego napięcia

ELOBRA

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brig. Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SAO PAULO

Z gwiazdy na gwiazdę

Coraz mniejszym się staje ten nasz glob, który niesłusznie światem zwiemy. Zwiększamy chyżości, zmniejszamy odległości. Wnet dojdziemy do absurdu, gdyż startując dziś tuż po północy w Londynie, wylądujemy w Nowym Jorku... wczoraj. Z postępem techniki idzie w parze zainteresowanie się odległymi krajami. Więc też nie dziwota, że nasze piśmiennictwo traktuje coraz częściej o Brazylii, kraju w którym od 100 blisko lat lądowały polskie nadwyżki demograficzne, by w ciężkim znoju przemieniać puszcę w urodzajny kraj.

W rok po wydaniu ciekawego reportażu Antoniego Olchy pt. "Dęby nad Iguassu" — (Ludowa Współdzielnia Wydawnicza, W-wa 1959), ukazały się wspomnienia Mieczysława Lepeckiego, pt.: "Z gwiazdy na gwiazdę" — (Iskry, W-wa 1960), na którą to pracę warto zwrócić uwagę czytelnika brazylijskiego. Książka dotyczy dwu ostro rozgraniczonych tematów. Pierwszy, to informacje o Brazylii, mimo jednostronności ciekawe dla czytelnika w kraju. W opisie swym Lepecki obraca się przeważnie w kołach ludzi zamożnych, ludzi interesu, którzy tonąc w dobrobycie zatracają często uczuciowy związek z krajem rodzinnym. W przeciwieństwie do Olchy, Lepecki nic właściwie nie doniósł czytelnikowi w kraju o życiu rodaków na koloniach polskich w Paranie, Espírito Santo, Sta. Catarina i Rio Grande do Sul. Nie poszedł też śladami Arkadego Fiedlera, który przeszło 20 lat temu opisał życie Polaków nad Ukajali. A przecież nad Araucarią i Ivaí tkwi nadal pionier-Polak i jemu, jego życiu, postępowi na koloniach polskich godzi się poświęcić osobne studium krajoznawcze. Lepecki mało wprowadził zna skupiska polskie w głębi lądu brazylijskiego. Zna lepiej miasta, a mimo to nie dotarł do polskiego robotnika w São Paulo, Rio de Janeiro, Kurytybie i w Porto Alegre. Nawet o skupiskach polskich w Belo Horizonte, gdzie przecież przeżył sporo lat, nic nam powiedzieć nie może. Ta jednostronność obniża niewątpliwie wartość opisu, jako przyczynku krajoznawczego.

Polak brazylijski nie znajdzie w książce Lepeckiego również tych informacji, które go najwięcej zainteresować mogą. Z dramatycznego zakończenia książki, opisu spalania przez Lepeckiego munduru na znak zerwania z przeszłością, można by wnioskować, że autor zda nam szczegółowy opis stosunków panujących obecnie w kraju. I tu spotyka nas największe rozczarowanie, gdyż literat Lepecki nic nam zasadniczego na ten temat nie powiada. Z ostrożnych sformułowań trudno dotrzeć do jądra, trudno ustalić, czy polskie masy ludowe są zadowolone ze zmiany systemu. Mimo wielu niedopowiedzeń odnosi się jednak wrażenie, że zdaniem Lepeckiego stosunki w kraju są znośne, a o specjalnym ucisku nie ma mowy. Lepecki wyraźnie wierzy w radykalną poprawę warunków gospodarczych, a trudności, do tej pory jeszcze nie rozwiązane, np. sprawy mieszkaniowe, przypisuje słusznie barbarzyńskim metodom okupanta hitlerowskiego.

Wszystkie niedociągnięcia książki Lepeckiego niweluje szczerzy ton z jakim odnosi się do naszych współobywateli brazylijskich, oraz gorący patriotyzm, jaki bije z kart "Z gwiazdy na gwiazdę". Dla nas, rozbitków, których wojna zagnała do gościnnej, wspańskiej Brazylii, ta strona książki Lepeckiego ma największą wartość. Dla nas, którzy tu pilnie zbieramy każde słowo o naszym kraju rodzinnym, którzy w biedzie czy dobrobycie nie zapomnieli tej najdroższej nam ziemi polskiej, Lepecki śle słowa otuchy. Przyj-

mujemy je z wdzięcznością jako dowód, że kraj o nas nie zapomina. I my nie zapomniemy, my wolni w wolnym kraju, żyjący w niewoli naszych tęsknot, z których najczęściej nie ma wyzwolenia. Tak jak nie ma wyzwolenia dla naszych dzieci i wnuków, dla których oby Polska pozostała wspomnieniem dobrego, umiłowanego kraju ojców.

Czytając książkę Lepeckiego nasuwają się mimo woli wspomnienia miejsca, gdzieśmy przeżyli naszą młodość, te górne i chmurne, lecz jakże niezapomniane dni dzieciństwa.

Do całego szeregu rymowanych i nie rymowanych wyrazów tęsknoty wygnańców polskich za krajem rodzinnym niechaj mi wolno będzie przypomnieć słowa sędziwego Bolesława Drobniera, który na Syberii w roku 1941 tymi słowy wspomniął swój rodzinny Kraków:

Tak by się chciało jeszcze dziś powrócić,

*Poprzez gór wieńce, rzek snopy, pól płaty,
wrócić do naszych bławatków i maków
i lotem ptaka przeciąć całe światy,
ujrzeć swe mury, ujrzeć znów swój Kraków!
Ujrzeć precudne kwieciste dywany
i kasztanowe wokół miasta Planty,
usłyszeć dzwonu Zygmunta dźwięk znany,
starych zegarów tak smutne kuranty...
Wpatrzeć się w światła studiarowych witraży,
w narcyzy, jaskry, lilije, jaśminy —
śnieć o posagu przesmutnej Gżazyny
i w śnie przeszłości ujrzeć świat miraży...
Objąć uściskiem wierzyby i topole
i nadwiślańskie nasze stare dęby,
spaloną gradem kul przeorać rolę,
zbudować w miejscu zginiętych nowe twarde
zręby...!*

Oby książka Lepeckiego, ani też wiersz Drobniera nie przeszły bez echa wśród Polonii brazylijskiej!

Zygmunt Wieliczka.

DELACO

Comércio e Indústria S. A.

laminados plásticos,

decorações, revestimentos

Loja e exposição:

SÃO PAULO, Rua Consolação, 825

Dpto. Técnico - fone: 32-1022

Dpto. Comercial - fone: 34-1246

Depósito e fábrica:

Rua do Manifesto, 2471, -

Fone: 63-3468.

Sprzedaż FORMICA w arkuszach i kawałkach.

Jedyna firma w São Paulo wyspecjalizowana we wszelkich dekoracjach, aplikacjach i meblach artystycznych, wyłącznie z "FORMICA".



STANISŁAW OSSOWIECKI

(Soc. Fin. Barros-Handley)

Sprzedaż nieruchomości

Orientacja fachowa

SÃO PAULO, rua Barão de Itapetininga, 224, 1.º — Fone: 32-3131
e residência 80-7045

Insubra

SÃO PAULO, Rua Barão de Itapetininga 151, 3, 4 e 5 andar — Tel. 37-3171

RIO DE JANEIRO, Av. Rio Branco, 138, 14.º
Tels.: 22-6663 e 32-9284

PORTO ALEGRE, Praça Rui Barbosa, 220, 2.º
Tel. 8323 — Ed. Tannhauser.

CURITIBA, R. 15 de Novembro, 24, Tel. 4-4457
Modesto Smolka & Cia. Ltda.

WSZELKIEGO RODZAJU

MASZYNY BIUROWE,

ORGANIZACYJNE

I BUCHALTERYJNE

LISTY Z ZA MURU

Wśród literatury epistolarnej specjalne miejsce zajmują listy z więzień. Pisane do najbliższych w trudnych warunkach odośobnienia, listy te bardzo często stają się dokumentem o dużej wartości poznawczej. Do nich zaliczyć należy publikowane obok listy Haliny z getta warszawskiego, tego swoistego więzienia, w którego murach więziono pół miliona ludzi. Jej listy, obok niewątpliwych walorów literackich, stanowią wstrząsające świadectwo buntu człowieka przeciwko potwornościom czasów pogardy.

Halina Szwambaum pochodziła ze średniozamożnej, kulturalnej rodziny mieszczańskiej. Była jedynaczką, otrzymała bardzo staranne wychowanie. Z domu też wyniosła miłość do Warszawy; ojciec jej był gorącym patriotą swego miasta, rozmiłowanym w jego tradycjach. W 1937 r. Halina ukończyła Gimnazjum i Liceum Reginy Gaceńskiej i Eweliny Kacprowskiej i rozpoczęła studia na romanistyce.

Wojna oderwała Halinę od zwykłych zajęć i upodobań, od środowiska bliskich jej ludzi i miasta. Okupanci przypomnieli jej, że jest Żydówką. Wkrótce też wraz z rodzicami zostaje zamknięta w getcie. Najpierw traci matkę, później ginie ojciec. Zostaje sama w koszmarnych warunkach getta warszawskiego. Stąd już nie wyjdzie, choć niejednokrotnie jej przy-

jaciele po drugiej stronie muru zabiegali o to. Zginęła wraz ze swoim ukochanym, członkiem grup bojowych getta, w czasie powstania kwietniowego. Miała lat 22.

Przez cały okres pobytu w getcie Halina utrzymywała ścisły kontakt ze swoją byłą nauczycielką z gimnazjum, później serdeczną przyjaciółką, Panią Stefanią Liliental. Pani Stefania uczyła ją łaciny, a następnie, już po szkole — greki. Po zamknięciu getta spotykały się potajemnie na punkcie granicznym przy Sądach na Lesznie. Od czasu do czasu Halina wyrywała się z getta i odwiedzała swoją przyjaciółkę i jej synka — Witolda, do którego była mocno przywiązana. Między spotkaniami korespondowały ze sobą. Listy docierały do adresatki za pośrednictwem ludzi z podziemia. Było ich kilkadziesiąt. Ocalało tylko 7 (drukujemy 4 z nich), troskliwie — nie bez dużego ryzyka — strzeżonych przez panią Liliental.

Nad biurkiem w pokoju pani Stefanii wisi makatka, w srebrnoróżowe kwiaty. Wyhaftowała ją Halina. Jest to (poza listami) jedyna pamiątka po niej. — Prawda, że przypominają listy Haliny? — pyta Pani Stefania. — Proszę spojrzeć na ten dobór kolorów, na ich harmonię, ciepło, spokój...

Lucjan Dobroszycki

I.

Warszawa, 9.VI.1941.

Droga Pani!

Chodzę już od paru tygodni z tęsknotą i wyrzutami sumienia w sercu, aż wreszcie muszę z Panią porozmawiać. Bo właściwie to nie brak czasu przeszkadzał w napisaniu listu — zawsze można znaleźć w ciągu dnia jakieś wolne pół godziny — ale właśnie nie miałam ochoty "wcisnąć" Pani między jedno zajęcie a drugie... Z bliskimi ludźmi tak nie można, bo z tego czasu, który się przeznaczają na kontakt z nimi, trzeba i dla siebie najwięcej wyciągnąć. Więc siedzę sobie teraz na balkonie w fotelu wśród doniczek z fasołą i słonecznikami, niczym waltanie, i bardzo się cieszę, że mogę wreszcie napisać do Pani i bardzo jest mi przy tym smutno. Nie wiem, jak to napisać, że teraz dopiero przekonałam się, jak bardzo mi Pani brak i jak mi jest Pani bliska. To wszystko dla mnie samej jest trochę nieoczekiwane, ta nagle tęsknota za Panią, która mnie teraz często łapie i ta okropna nasza bezsilność. A przy tym wszystkim jestem tak teraz zapracowana, że nie mam po prostu dość energii, żeby utrzyma-

nasz kontakt; we wtorki przed południem trudno mi znaleźć wolny kwadrans o oznaczonej godzinie i nawet do Pani E. (1) niełatwo mi się wybrać, żeby się czegoś dowiedzieć. Ale to nie jest brak zainteresowania, Pani mi wierzy — prawda? Jest jedno słowo, niezbyt literackie, którym określam dokładnie mój obecny stan: skapcaniałam zupełnie. Po francusku to się nazywa "degringolade". Uczę się jeszcze tego pięknego języka, bo mój profesor nie przyjął "dymisji" i przychodzi dalej wytrwale, chociaż bezinteresownie. To mi daje trochę odprężenia i pomaga utrzymać mózg w mniej więcej elastycznym stanie. Niedawno zdobyłam się na niemały wysiłek i opisałam po francusku katedrę w Chartres. Zajęło mi to cały zeszyt za 50 groszy, sporo wieczorów i na pewno czas głowę, co bardzo dobrze robi. Ale drugi raz nie zdobę się tak prędko na podobną eskapadę.

Moje obecne zajęcia, o które Pani pytała, zajmuje mi kilka godzin dziennie. Wędruję po różnych piętrach, z ciężką teczką. Muszę na to mieć dużo sił fizycznych i cierpliwość anioła. Nie wiem sama, skąd bierze się we mnie jedno i drugie. Ale się bierze i "interes" rozwija się pomysłnie. Mnie natomiast uby-

wa na wadze, czyli jesteśmy do siebie w stosunku odwrotnie proporcjonalnym. Niektórzy zresztą mówią, że świetnie wyglądam i też mają swoją rację. Odżywiam się prawie wystarczająco, a więc w porównaniu z innymi — świetnie i na pewno lepiej od Pani, o czym często myślę i bardzo się martwię. U nas tu wiele osób korzysta z zup "ludowych" za 70 gr., mnie też udało się je otrzymać, więc to bardzo odciąża mój budżet. Sporo czasu zajmuje mi dom, chociaż prowadzę się ostatnio jako gospodyn dość swobodnie, bo po prostu nie mam siły, a froterowanie podłogi "ponad siły" uważam za przesadę. Czytam teraz bardzo mało i tylko po francusku. Do polskich książek nie mam zupełnie cierpliwości, a tamto mi jakoś idzie. Czytam zresztą tylko "starych mistrzów": Balzaka, Molière itp. i strasznie się w tym rozsmakowałam. Zdaje się, że do tego też trzeba mieć pewne przygotowanie życiowe i pewną dojrzałość, bo nie wyobrażam sobie, żebym 2 lata temu umiała tak ocenić wielkość Molière jak teraz; na pewno bym powiedziała, że Molière jest nudny. I jeszcze robię jedną rzecz, do której przyznaję się mało komu: studiuję ciągle historię sztuki pod kierunkiem mego przyjaciela, "specja" od tych spraw. Jestem już we Francji w XV wieku i przechodzę teraz prymitywy. Staram się nie przerywać, bo to jest — poza francuskim — jedyny kontakt z nauką, jaki zachowałam.

Napisałam już prawie wszystko o sobie, ale w rezultacie nie to chciałam napisać. Chciałam Pani opowiedzieć o moim obecnym stanie, jak bardzo jestem zmęczona i jak mi jest ciężko na sercu. Przeżyłam niedawno jedną głupią historię, coś w rodzaju "zawodu miłosnego" i to również mnie przybiło, chociaż było do przewidzenia i to nic właściwie poważnego. Chciałabym przespacerować się w Pa-

ni strony, żeby odpocząć od ludzi, wśród których żyję i od wszystkiego, co się tu dzieje, ale nie wiem, czy będę miała wolne dwa dni i dość gotówki na to, żeby się utrzymać poza domem. Mąż pani Basi R. (2) zaofiarował mi kiedyś nocleg w jej imieniu, ale nie wiem, czy będzie jeszcze można z tego skorzystać, nie znam zresztą ich adresu, ani nie wiem, czy są w Warszawie. Postaram się przyjść na "randkę" w najbliższy wtorek — to pogadamy. Teraz już chyba skończy, bo dosyć się nagadziłam. Tęsknię za Pani tapczanem z poduszkami, po których Witus baraszkował, i nie chce mi się wierzyć, że już nigdy nie będę w tym mieszkaniu. A czasami znów to mi się wydaje tak odległe, jak np. te czasy, kiedy uczyła mnie Pani greki. To już tak dawno, prawda? Już zupełnie greki nie pamiętam, a czytałam przecież Ksenofonta i Homera. Było wtedy lepiej niż teraz, ale Pani np. nie miała jeszcze Witusia. To może znów było gorzej? Zresztą nie trzeba filozofować. To, co my przeżywamy choćby najciężej, nie ma przecież i tak znaczenia wobec Historii, która chodzi teraz po ulicach. Jest nam źle, jesteśmy zmęczone, Witus nie ma masła, my mamy za mało zupy, ale teraz wszyscy prawie dorośli i wszystkie prawie dzieci w całej Europie jedzą za mało. Tylko czy to pokolenie Witusiów uwierzy nam kiedyś, żeśmy przeżyli takie straszne rzeczy?

Przy okazji proszę Panią o dużo "powiedzonek" małego, bo bardzo ich łaknę i mają tu duże powodzenie. Jak funkcjonuje fabryka obuwia? Czy jest Pani bardzo zmęczona? Czy zarobki się poprawiły? Chciałabym dowiedzieć się wszystkiego o sobie.

Całuję Panią bardzo mocno i małego też z całych sił. Błagam o listy!

Hala



Zdjęcie z lat szkolnych autorki listów (oznaczona krzyżykiem).

120
Warszawa, 20.X.1941.

Moja droga, kochana Pani!

Mam tak obciążone sumienie, że sama już nie wiem, czy mam zacząć od dziękowania, czy od przeproszenia. W każdym razie bardzo, bardzo Panią Kocham i naprawdę, kiedy dostałam od Pani książki, to aż mnie w gardle coś zadusiło ze wzruszenia i tęsknoty. A tymczasem jestem wciąż w takim kotle, że nie mogłam dotychczas znaleźć ani minutki, żeby przesłać chociaż kilka słów. Parę dni temu była u Pani E. po wiadomości i to mnie ostatecznie zdopingowało do napisania. Strasznie się martwię o Pani chore ręce i nogi, a jeszcze więcej o to, że tak trudno jest usunąć przyczynę tej dolegliwości. Słyszałam o nowych projektach na zimę: więc znów zajęcie z pierwszego okresu wojny (3). Ale bardzo się cieszę, że przynajmniej Infantowi i jego Matce będzie ciepło. To ogromnie ważne. Ja jestem bardzo bogata: mam trochę koks, trochę drzewa i dużo wrodzonego ciepła. A zresztą jestem stale w ruchu. Chciałabym napisać Pani coś o swoich zajęciach, na których schodzą mi boże dni i tygodnie, ale to będzie trochę trudno. Jak to z grubsza wygląda, pisałam już poprzednio. Ale nie wiem, czy dałam Pani obraz mojego dzisiejszego dnia. To nie tylko walka o byt, walka, dosłownie "na śmierć i życie", ale to coś zupełnie jednego w swoim rodzaju, jedyne w swojej brzydocie, w swojej bezbarwności, w swoim tragicznym jakimś komizmie, to jakaś maskarada, nie do namalowania, której by żaden pisarz nie wymyślił. Dlatego myślę, że to jednak ma pewną wartość i zdaje mi się, że w przyszłości, kiedy sobie zrobię rachunek złych i dobrych przeżyć, to chyba od ogólnej sumy zła doznałoby podczas tej wojny, trzeba będzie odjąć to, co się składa na wartość moralną pewnych doświadczeń i przeżyć. Każde pokolenie, każde społeczeństwo ma jakiś swój udział do odcierpienia i nie wiem, czemu mam się uważać za specjalnie pokrzywdzoną, że "odrabiam" tę wojnę jako mieszkanka getta w Warszawie. Tak mi wypadło w udziale i z tego punktu obserwacyjnego przyszło mi przyglądać się życiu. Nic w tym nie ma poza tym. Tyle, jeżeli chodzi o filozoficzne podejście do zagadnień życia w getcie. Zdaje się, że moja filozofia zmienia się w każdym liście, ale to nic nie szkodzi. Pani jest jedyną osobą, do której pisuję i lubię pisać, a listy moje mają przecież wartość archiwalną. (4). W każdym razie to bardzo ciekawa pozycja: przeobrażenia kobiety z rezerwatu szczątkowego plemienia Semitów w Europie środkowej. Jeżeli wojna będzie trzydziestoletnia, jak już kiedyś w Niemczech była, to pozostaną z tego wymierającego plemienia 2-3 żywe eksponaty, które będzie można oglądać za specjalną opłatą.

Wróćmy jednak do spraw dzisiejszych: pracuję nieskończoną ilość godzin na dobę, poznaję coraz to nowych ludzi, staję się coraz samodzielniejsza i coraz pewniejsza siebie. Rano do pierwszej jestem "Panią z czytelnii", bo przychodzą do mnie, od pierwszej do dziesiątej wieczorem jestem "Panienką z czytelnii", bo biegam po mieście, wieczorem jestem buchalterką, introligatorką i właścicielką przedsiębiorstwa, a w nocy, czasami, znów jestem uczennicą. Nie mam czasu o niczym myśleć i o nic się martwić. Żadne sprawy o znaczeniu ogólnym nie docierają do mnie zupełnie, jestem oddzielona od świata nie tylko murami getta, ale całym porządkiem swego obecnego życia. Krakowskie Przedmieście jest równie daleko jak Champs Elysées czy Plac św. Marka. Niedawno przerabiałam renesans Polski na zakończenie renesansu ogólnego. Zdawało mi się, że rynek Starego Miasta jest gdzieś na końcu świata i tylko wspomnienie wąskich, kolorowych kamienic nie daje mi wierzyć, że to istnieje naprawdę. W ciągu ostatniego miesiąca odbyłam, a raczej odbyliśmy z moim "profesorem" kilka "podróż" do Włoch. Byliśmy w Sienie, Pizie, Bolonii i Wenecji. Wkrótce pojedę do Florencji i to na dłużej. Pytała mnie Pani uprzednio, co mam zamiar zrobić po wojnie z tym moim "dorobkiem umysłowym": ma się rozumieć, że wykorzystać! To będzie właśnie punkt wyjścia dla moich przyszłych studiów i bardzo się z tego cieszę. Dużo już umiem, a jeszcze więcej "widzę", a to jest w tej "głęzi wiedzy" najważniejsze. Umiejętność oceny samemu pewnych rzeczy ma większe znaczenie niż znajomość historii sztuki. Napisałam przez te dwa lata kilka prac, które mogłyby być magisterskimi, jeżeli chodzi o ich rozmiar. Teraz wzięłam się do tłumaczeń z francuskiego; przetłumaczyłam już książeczkę o prymitywach francuskich, i właśnie jedna znajoma polonistka zrobi mi korektę. Mam zamiar dużo tego robić, żeby w przyszłości stać się "ambasadorem francuskiej literatury naukowej z dziedziny estetyki", niczym Boy Zelenki. No, i uczyć się dalej francuskiego. Tyle chwaleń się, teraz trochę o innych. Elza (5) prosiła mnie znów, żeby Panią pozdrowić. Jest teraz bardzo dzielna, pracuje w fabryce bambuszy 12 godzin dziennie za 6.50 i dwie zupy. Wygląda zabawnie, jak "komsomoika", ale sympatycznie. Irka (6) miała tyfus, przeszliśmy tu w związku z nią różne ciężkie chwile, ale wszystko pięknie się skończyło. W ogóle tyfus stanowi specjalny rozdział w naszej gettowej epopei: stał się zjawiskiem nagminnym i powszechnym. Przestał być postrachem, jak kominiarz na dzieci. Zżyliśmy się z nim i już się go tak nie boimy. Teraz już nikt nie ucieka z mieszkania chorego, wszyscy się nawzajem pielęgnują, każde dziecko zna

przebieg choroby, jak swoje 5 paluszków, a każdy mieszkaniec naszego państwa prowadzi w pamięci parę buchalterii swoich bliskich: ile jeszcze dni. Bo to jest taka matematyczna choroba: 14 dni. Ledwo się odsapnie po jednym kryzysie, a już ktoś jest chory i znów trzeba liczyć. Na ogół wszystko kończy się dobrze, tylko od czasu do czasu rozchodzi się po ludziach wiadomość, powtarzana z ust do ust, że ktoś młody i silny; czyjś syn, czyjaś jedyna córka, i że przecież tak ratowali... Za to osobną klasę stanowią ozdrowieńcy, tzw. "po tyfusie". Tym jest dopiero dobrze, ci sobie dopiero używają. Mogą chodzić na bazar, ile chcą (na bazarze się nie kupuje, bo tiok), mogą jeździć omnibusem, zwanym "Chatą za wsza", mogą już wcale nie liczyć do 14, jak ich coś ugryzie, są jak ze stali i nawet nie mają pięt Achillesowej. Czasami czują się dotknięci — już nikt się nimi nie zajmuje, o nich nie dba: ma gorączkę — katar, głowa go boli — niech weźmie proszek! I tak już im będzie przez 30 lat!

To wszystko było do archiwum. Teraz znów do Pani: kupiliśmy właśnie "Wianek" i mamy już całą "Krytykę" córki Lawransa". Zawsze bardzo się cieszę, kiedy uda mi się puścić w ruch jakąś książkę o wartości trwałej, bo to jest jedyne, nie spaczony rodzaj "strawy duchowej", jaką można dać naszemu sponiewieranemu społeczeństwu. Kompletujemy teraz Prousta, mamy już całe... pierwszych tomów. Jeżeli ktoś ma żylkę kolekcjonerską, to powinien założyć sobie czytelnię w getcie. Z kartki, którą Pani dałam, mamy już prawie wszystko.

Napisałam już tyle, a wciąż mam uczucie czegoś niespełnionego. Może chciałam pisać o Witusiu? Ale przecież nie mogę, bo go nie widzę i nie mogę zobaczyć. Chciałabym o nim dużo usłyszeć. Jak jego "posklejane" (7) paluszki? Co mówi? Co robi? Jak się bawi? Proszę bardzo a bardzo o dużo szczegółów o nim. Zresztą wiem, że Pani na pewno napisze. Będę czekała niecierpliwie na wiadomość —

na długi list. Jest teraz 8 wieczorem, ledwie zdążę zanieść tę kartkę do pani Edzi. Całuję Panią z całego serca, jeszcze raz dziękuję, jeszcze raz proszę o listy i wiadomości.

Hala

P.S. Ucałowania dla Witusia, pozdrowienia dla dwóch pomocnic Kazi (8) i Gieni (9). Co u Kazi słychać?

P.S. Gdybym mogła się na to zebrać, napisałabym kartkę do pani Eweliny K. (10). Czy powinienam to zrobić? Mam ochotę.

Dokończenie w następnym numerze.

UWAGI:

- 1) Felicja Szymańska, siostra p. Stefani Liliental.
- 2) Reńska, b. nauczycielka Haliny.
- 3) Mowa o pokątnej fabryce marmolady.
- 4) Aluzja do słów pani Stefani; kiedyś napisała Halinie, że jej listy przejdą do historii.
- 5) Elza Kenigsgelb, koleżanka szkolna Haliny. Zginęła w getcie.
- 6) Irena, siostra Elzy, również zginęła w getcie.
- 7) Na skutek awitaminozy Witus miał ropiejące wrzodzenia na palcach.
- 8) Była uczennica Pani St. Liliental.
- 9) Genia, piastunka Witusia.
- 10) Kacprowska.

PRZEDRUK ZE "ŚWIATA"

W KILKU WERSZACH

CZY WIECIE, ŻE:

W minionym roku w całym kraju zdarzyło się ponad 27,5 tysiąca wypadków drogowych (w 1959 r. - 22,8 tys. wypadków). W zderzeniach i katastrofach zginęło w 1960 roku 2009 osób — w tym 376 dzieci (w roku 1959 — śmierć poniosło 1936 osób), rannych było w ub. roku ponad 21 tysięcy.

W katastrofach i zderzeniach rozbitych zostało i uszkodzonych ponad 17 tysięcy motocykli, samochodów i autobusów.

WEEK-ENDY I WAKACJE

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO

1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, urocze spacery, konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska i jarska. CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i 1/2 godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową 45 km. przez Osasco, Itapevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub Caixa Postal, 6335, São Paulo.

Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9

Nieustraszony myśliwy

JERZY SEMENIUK

Nazywano go powszechnie Julhão i twierdzono, że w całej okolicy nie ma równego mu myśliwego. Było w tym może nieco przesady, ale w każdym razie nikt nie mógł się pochwalić taką ilością skór dzikich zwierząt, co on.

Był to człowiek lasu. Lubił las i włóczęgę po nim. Inni znajdowali czas na polowanie tylko w niedziele i święta. Julhão polował również w dni powszednie. Wskutek tego puszcza nie miała przed nim tajemnic. Znał wszystkie nory tatetów, wejścia główne i zapasowe i rzadko się zdarzało, aby tatety zdołały mu się bezkarnie wymknąć.

— Zawsze któryś koszule musi zostawić — mawiał.

Nie popuszczał też jeleniom. Gdy tylko zoczył ich trop natychmiast pojawiała się na nim jego armadilha. Był, gdy o to chodzi, niestrudzony. Dopóty rano zabierał strzelbę ze stanowiska, a wieczorem z powrotem zastawiał, aż jeleni się zabił i trop pustoszał.

Nie darmo mówili sąsiedzi:

— Nie zapuszczaj się w nocy w las bez porozumienia się z Julhão. Nigdy nie wiadomo gdzie zastawił armadilhę.

Rzadko kiedy strzelba Julhão nocowała w chacie. Kiedy Julhão smacznie chrapał w swoim rancho, zbudowanym z piniorowych łupańców, ona cierpliwie czekała na tropie, aż jakiś jeleni o przytępionym węchu wlezie na nią. Po strzale nigdy prawie zwierzyzna nie zdołała się oddalić o tyle żeby ją trzeba było szukać psami. Julhão nie żałował śrutu i nie dbał o popsucie skóry.

— Grunt, żeby zabić — mawiał. — Co ze skóry, jeżeli będę musiał szukać postrzelone zwierzę cały dzień?

Dzięki myśliwskim zapędom w domu Julhão nigdy nie brakło suszonego mięsa, ale pole przez to cierpiało.

Kiedy mu to ktoś wypominał skrobał się niefrasobliwie w głowę.

— Poco skrobać motyką ziemię? Polowanie jest o wiele przyjemniejsze.

Nie miał żadnych planów na przyszłość. Jak każdy kabokło wierzył w niezmierzoną łaskę boską.

— Jakoś to będzie.

Ze sprzedaży skór opędzał zawsze niezbędniejsze potrzeby domowe. Kawalek pola (mały, bo mały) wystarczał do życia, a nawet hodowli kilku świń na słoninę.

Żona Julhão była kobietą tego samego pokreju i usposobienia. Tyle, że dla odmiany zamiast lazić po lesie wołała siedzieć w domu przy ognisku, piec na patyku churrasco, pić szymaron i palić papierosy z pai. O dzieci, których było kilkoro, niewiele dbała. Bawiły się całymi dniami w płasku koło domu, kryjąc

się po kątach, gdy zawitał czasem ktoś obcy.

— Dorosną i tak — twierdziła.

Julhão nie stronił od ludzi. Wieczorami chętnie odwiedzał sąsiadów. Zbierało się nieraz spore grono, opowiadano przygody, co, gdzie, jak i kiedy. Sama brać myśliwska. Julhão, oczywiście, najwięcej miał do gadania. Nie było przygody, którejby nie doznał, okazji zwierza, którego by nie upolował i tajemnicy w lesie, którą by ktoś odkrył przed nim.

Ale na polowaniu nie lubił towarzysztwa, zawsze wolał być sam. Mówiono powszechnie, że ma fetysza, zapewniającego mu powodzenie.

— Powiedz - no, Julhão, - pytano - czemu nie wracasz nigdy z pustymi rękami z polowania?

— A, bo mam dobre psy, — odpowiadał, szczerząc zęby w uśmiechu.

Psy miał, rzeczywiście, dobre.

— Julho, — mówiono — czemu nie uprawiasz więcej ziemi? Mogłbyś zebrać dużo ryżu i fiżonu.

— Poco?

— Postawiłbyś sobie ładny i dobry dom.

— Casa bôa? — pytał Julhão i dodawał, uchylając kapelusza: — Deus pará. Na podobne dictum wszyscy na chwilę milkli.

Pewnego razu na takim właśnie zebraniu towarzyskim jeden z sąsiadów Julhão, José, podjął ulubiony temat myśliwski.

— Wiecie, — powiedział — byliśmy wczoraj z compadre Dico i Joaquim'em na polowaniu na drugiej górze co-

rego, za Loutra. W połowie góry psy zrobiły stójkę. Patrzymy, a tu nora. Rozpaliliśmy u wejścia do nory ognisko, ale wyobraźcie sobie, że tatety nie wylazły.

Julhão nadstawił uszu, uśmiechając się nieznacznie.

— Nie wylazły? Czemuście nie pilnowali zapasowego wyjścia o kilkadziesiąt metrów wyżej?

— To ty i tę norę znasz?

— W zeszłym tygodniu zabiłem tam dwa tatety.

— A jak poznałeś, że wyżej jest wyjście?

— Wiedziałem. Ciągnęło ogień do środka jak do komina. Ale zanim znalazłem to zapasowe wyjście już ostatnie wylazły. Zdążyłem jeszcze ubić dwa.

Wszyscy pokiwali z uznaniem głowami.

— No, no!

— Swoją drogą — odezwał się po chwili José — nie mogę zrozumieć jak się nie bałeś zapuszczać tak daleko w las w pojedynkę.

— Ja się nigdy nie boję — oświadczył z niemalym oburzeniem Julhão.

I tak powoli sąsiedzi zaczęli wierzyć:

— Julhão nieustraszony! Przed niczem się nie cofnie. Niczego się nie ulęknie.

Powiedzonka te docierały do uszu Julhão i łechtały mu mile ambicję.

Cokolwiek by można o Julhão powiedzieć jednego nie mógł mu nikt zarzucić: nie był zazdrosny o pierwszeństwo i powodzenie, i cieszył się szczerze, gdy i sąsiadom udało się coś upolować. Ale tak się już utarło, że gdy poszedł pierwszy do lasu to albo odkładali polowanie, albo woleli szukać szczęścia w innej stronie lasu.

Tak też zdarzyło się owej pogodnej niedzieli, kiedy około godziny dziewiątej rano przed rancho José ściągnęli z psami dwaj jego przyjaciele — João i Dico.



KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

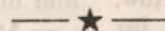
Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJÁ

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Electr.: "COPINDUS"

Nie zdążyli się jeszcze przywitać, gdy José wypalił:

— Julhão już poszedł. Słyszałem jego psy aż za Loutrą. Chyba, że wybierze-
my się w kierunku Taquarál.

— W Taquarál nie ma już nic, nawet
gamby — powiedział Dico i splunął. —
Jak mam iść do Taquarál to wolę nie iść
nigdzie.

— Można tam już tylko polować na
pancerniki — dodał João.

Co można było robić? Zasedli do szy-
maronu i przez dłuższy czas żaden się
nie odzywał trochę ze złości, a trochę z
żalu.

— Wiecie, — powiedział wreszcie Di-
co — nie życzę ja źle Julhão, ale dobrze
by było, żeby mu kiedy dzikie świny da-
ły taką nauczkę jak mojemu kuzynowi
Augusto, który także lubił wałęsać się
po lesie w pojedynkę. Musiał się wdrapać
ratując skórę, na kolczasty xaxim, bo
innego wysokiego drzewa nie było w po-
bliżu.

— A pamiętacie jak Joaquina ucieła
nad Piquiri zmija? — przypomniał João.
— Gdyby nie towarzysze to by go nikt
nie znalazł, a i tak już było za późno i
kitę odwalił.

— Tak, tak, samemu po lesie tazić nie-
bezpiecznie.

Czas przy szymaronie mija szybko. Za-
nim się obejrzeliby pora była na obiad. Po
obiedzie sąsiedzi usiedli znowu przy
ognisku, zapalili papierosy...

Dzień był dosyć chłodny, wietrzny, jak
to się często zdarza w lipcu. Kuja w szy-
maronem znowu zaczęła krążyć.

Dico otworzył właśnie gębę, żeby po-
wiedzieć jakąś gadkę, gdy rozległo się
gwałtowne ujadanie psów. Zaraz jednak
umilkły, widać poznały znajomego.

W drzwiach stanął Julhão. Bez kape-
luszka, koszula w kilku miejscach podar-
ta, portki okropnie zabłocone, mina wy-
straszona.

Sąsiedzi rozdziawili usta ze zdziwienia.
Pierwszy opamiętał się gospodarz.

— Co się stało?

— Chodźcie, pomożecie mi przynieść
tygrysa, — powiedział ochryplym nieswo-
im głosem Julhão.

— Tygrysa? Skąd?

— Z Toca da Sanga. Wiecie chyba
gdzie.

Owszem wiedzieli. Była to nora tate-
tów, położona nawet niedaleko, ale w
głębokim rowie szerokości kilku i długo-
ści kilkunastu metrów. Z nory wyciekał
niewielki strumyk i łączył się nieopodal
z wodą rzeki Loutry. Przez ten właśnie
strumyk ludzie tak to miejsce nazwali.
W czasie przyborów Loutry rów napel-
niał się po brzegi wodą. W suszę woda
opadała. Na stromych zboczach rowu
gdzieniegdzie widać było zwały tatetów.
Człowiekowi trudno było zejść. Gdy już
jednak znalazł się na dnie rowu wystar-
czyła latarka elektryczna, aby wystrze-
lać dziki po kolei: nora nie była głę-
boka i nie miała wyjścia.

Dopiero po dobrej chwili z urywanych

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne. W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i este-
tyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12 piętro. Tel. 33-4737

zdań Julhão sąsiedzi dowiedzieli się, że
jaguar bynajmniej nie siedział w norze,
choć tak się mogło początkowo wyda-
wać. Psy zapędziły tam kilka tatetów i
stały na dnie rowu naprzeciw nory z wy-
jątkiem jednego młodego psiaka, który
przysiadł na samej krawędzi i ciekawie
spoglądał w dół. Julhão zsunął się do
rowu, oświetlił norę i miał już właśnie
palnąć w łeb najbliższemu tatetowi, gdy
pozostawiony na górze szczeniak prze-
rażliwie zajazgotał i stoczył się myśli-
wemu jak kula pod nogi. Julhão spojrzał
w górę i...

— Zobaczyłem ogromnego tygrysa. Pa-
trzył mi wprost w oczy i z mordy ciekła
mu ślina. Pomyślałem, że już po mnie...
Palnąłem mu z dołu prosto w pierś, a on
się tylko przycałił do skoku. Strzeliłem
jeszcze kilka razy, wtedy spadł do rowu,
a ja wyskoczyłem, no i poszedłem po
was.

— A tatety? — zapytał João.

— O tatetach to już zapomniałem...

Dico spojrzał na José, a José na João.
Nie bardzo im się chciało wierzyć w o-
powiadanie Julhão. Znadto miał zas-
traszoną gębę. Zabłocone portki i podar-
ta koszula świadczyły także, że zarówno
wyskakiwanie z rowu, jak i odmarsz do
wioski odbywały się w dość przyspieszo-
nym tempie.

Wieczór już zapadał, gdy sąsiedzi Ju-
lhão powracali do domu. Byli w dosko-
nałych humorach.

— Na Najświętszą Panienkę z Belém
— powiedział Dico — tego bym się po
nim nie spodziewał.

— Ani ja — zaśmiał się João. — Tygrys
za pierwszym strzałem został trafiony w
serce i stoczył się od razu na dno rowu,
jak na to wskazują ślady, między Ju-
lhão, a rzeką. Wskutek tego nasz ko-
chany Julhão nie mógł wyrwać ro-

wem. Loutra w tym miejscu szeroka, a
on nie umie pływać.

Roześmieli się wszyscy.

— Pas z nabojami leżał porzucony ko-
ło nory, dookoła pełno łusek. Skóra ty-
grysa z jednej strony całkiem do nicze-
go. Cha! Cha! Bił w kota póki nabo-
i starczyło, a tylek wcisnął w norę. Szkoda,
że go który tateto nie dziabnął w siedze-
nie.

— To dobra przygoda. Szczęście, że na
wiosnę. Zobaczycie, że Julhão zacznie te-
go roku robić rosę.

I rzeczywiście zaczął.

UWAGI:

1) *Armadilha* — strzelba ustawiona na
rosochach z przeciągniętą przez trop nicią, w
ten sposób, że zwierzyzna pociągając nić spu-
szcza kurek.

2) *Corrego* — wąwóz.

Construções

Mecânicas

Rozenowicz Ltda.

Transportadores
Alimentadores
Elevadores
Peneiras
Moinhos de martelos
Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI
Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO

Rok 1930 przeszedł do naszych wspomnień jako rok przesilenia gospodarczego, które objęło obydwie wybrzeża Atlantyku. Wszystkim było źle i ciasno, ale najgorszej się wiodło świeżemu przychodzący, stawiającemu dopiero pierwsze kroki w zamorskim kraju. Któż ze starszych nie pamięta, że to od owych czasów datują się nieznane dawniej nikomu favele? Wzięły one początek od bezrobotnych emigrantów, zmuszonych do koczowania u wrót wielkich miast.

Nad Buenos Aires, wielomilionową stolicą Argentyny, ranek zimowy za pan brat z mroźnym wiatrem z Patagonii, a na przekór zadyszczanemu syrenom z doków i kanałów Srebrnej Rzeki, marudził jeszcze ciągle w mgłach, deszczach, kiedy w jednej z kamienic portowych w pokoiu na pół piwniczym, redaktor Henryk Korbacz zajmował się poszukiwaniem gwoźdźcia do najbliższego numeru tygodnika: "Polak w Pampie", mającego w nim wydawcę, redaktora, administratora, chłopca do posyłek, czasem nawet zecera. Pismo żądało dziesiątym z rzędu, czyli mało jubileuszowym wydaniem. Jutro dzień ekspedycji, dzisiaj w południe trzeba dostarczyć resztę materiału do drukarni.

Dla braku gwoźdźcia dziennikarz kleił na podstawie prasy porannej notatkę o jakowejś emigrantce z maoryjskim nazwiskiem. Pomarło się biedaczce tej nocy na pokładzie statku zdążającego do Argentyny. Cóż, kiedy pisanie przerywali co rusz różni wcześni i nie wcześni interesanci.

Na domiar odezwał się telefon. Zaraz poznać skąd wołają. W słuchawce szumi od krzątania w ciasnej drukarni, gdzie przy pomocy trzech linotypów i kilku maszyn trzeba dać radę składaniu i drukowaniu tuzina emigranckich tygodników, każdego w innym języku. Poprzez hałas właściciel przedsiębiorstwa, równie międzynarodowy jak ono samo, pyta zaspianym jeszcze głosem co robić skoro Jan Kilimek, jedyny polski linotypista, nie stawiał się do tej pory na dzienne szychcie.

Zawodzi ten chodzący wzór obowiązkowości, jakim jest nasz Juan, już bynajmniej nie w wieku don Juana, zawodzi masz tobie! akurat w środę najgorszy dzień tygodnia.

Potem weszła cicho jak cień żona redaktora. U stóp jejmości dreptał trzechletni chłopczek o dużych, zalegnionych oczach. Jak to w małżeństwach na emigracji, pochłoniętych zarobkowaniem na obie pary rąk, przywitanie było wcale czule.

— No, i czegoś ty, kochanie, znowu dziś taki niewyspany?

— Cóż, miałem dyżur w nocnej orkiestrze.

— A czy nie mógłbyś jej rzucić?

— Zrobię to za miesiąc, może za dwa.

— Z tą twoją gazetką... Dokładasz cię do niej?

Za odpowiedź musiało starczyć wymowne milczenie.

— Mieć własny kąt, żonę, rodzinę i żeby przy tym spędzać noce w takiej norze... Coś tu nie w porządku.

— A co tam w domu, Zosiu? — zagadnął z zakłopotaniem mąż. — Opowiedz jak ci się krawcuje? Co u naszej Basi? Jestem taki stęskniony...

Nie dostał odpowiedzi. Sprzątaniu i przewietrzaniu redakcyjki towarzyszyły monotonne zwierzenia.

— Wybacz, Henryku, że się nieco spóźniłam do tych jutrzejszych adresów. To przez wypadek na rzece Riachuelo, wiesz już? Most zamknięty został dla ruchu od wczesnego rana, z Dock Sud trzeba objeżdżać aż na Avellanedę. Gdzie też po-

działeś przygotowane adresy? Chcę się wziąć zaraz do podsumowania. No, a ów feralny ranek na rzece. Powiadają, że wiekie nieszczęście, że mgła temu winna. Oj, oj, nie było i nie będzie, jak u nas w Stawiczynie...

O zagrzebanego w drukach dziennikarza obijały się te wydarzenia uliczne i Stawiczyny niczym groch o ścianę.

— Masz brzdąca! — zwrócił naraz uwagę na chłopczykę, zajętego poszukiwaniami w koszyku do papieru. — Czyje to znowu dziecko?

— No, jużci, że nie twoje. Synek Kilimek, Lucek mu na imię. Czyś już zapomniał?

— Nie wiesz może z jakiego powodu Kilimek spóźnił się dziś do roboty?

— Na powitanie swojej Marty popędził wcześniej z rana. Chce mieć cały dzień dla niej, więc za ich pojednanie przyszło mi zapłacić opieką nad Luckiem. Po sąsiedzku, tylko do wieczora.

— To powiadasz między Kilimekami na nowo zgoda?

— Kto jest gościem w domu — ten o niczym nie wie, chociaż cała ulica o tym bębni.

— Po który raz ślubują sobie i na jak długo?

— Przedwczoraj nadszedł telegram od Marty...

— ... a miesiąc temu pofrunęła sobie do Brazylii z jakimś Greczynem.

— Kątem ją puścił. Zrozpaczona ubłagała Jasia o nowe przebaczenie.

Korbacz, wykończywszy w międzyczasie rzecz o emigrancie, której nie dane było dobić do ziemi obiecanej, zajrzał raz jeszcze do argentyńskiego dziennika.

ło od niej wiosną w mrokach lokalu: rozjaśniła się zakłopotana twarz matki, pochylonej nad upstrzonymi od poprawek adresami czytelników, poweselał też ojciec obwarowany za biurkiem stosem wszelakiej bibuły. Nawet głuche syreny z doków zawyły jakoś mniej ponuro.

— Szwalnia wysłała mnie po zakupy, — odezwała się dziewczyna rzeczowo, uprzedzając nieme spojrzenia rodziców.

Twarc miała w wypiekach. Odetchnąwszy podjęła na nowo, a głos jej drgał z przejęcia:

— Wiecie już? Straszne nieszczęście się zdarzyło na naszym moście nad Riachuelo. Pierwszy poranny tramwaj wpadł do rzeki. Niosę dla tatka gazetę, nadzwyczajne wydanie. Ledwie zdołałam kupić, wyrывая z rąk. Tramwaj był przepełniony, sześćdziesiąt osób zginęło...

Pod rozłożoną płachtą stołecznego dziennika skrył się caluśki stół ekspedycyjny polskiego pisma. Był tam pospieszny opis przerażającego wypadku przetelefonowany z miejsca katastrofy wprost do drukarni. Na fotografiach widać było nieszczęsny most, który był mostem zwodzonym i w krytycznej chwili przepuszczał właśnie jakąś barkę, oraz tramwaj-trumnę w różnych fazach wyłaniania się spod wody w miarę jak go potężne dźwigi podnosiły w górę z głębokości ośmiu metrów. Zdjęcia wywołano w pracowni na kołach, aby bez straty czasu puścić je wraz z tekstem na bębny maszyn rotacyjnej i cisnąć na ulicę w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

GODZINA W REDAKCJI NA WYCHODZSTWIE

Paweł Nikodem

— Drzemało ci się, niezdaro! — zgromił sam siebie. — A o nagłym ataku ślepej kieszki nie powiedziałeś ani słowa? No, i że statek towarowy, radio jest, a lekarza nie ma...

Zmarszczył brwi, zaintrygowało go coś z nagła.

— Nie wiesz, Zosiu, czy Marta wraca koleją?

— Morzem jedzie. Wsiadła w porcie Rio Grande.

— A nie mówił też Jan jak się nazywa statek?

— Owszem. Coś jakby Mercado, stateczek do przewozu yerby mate i drzewa. Ale czego tak nagle pobladłeś, człowieku?

— Weź gazetę poranną, przeczytaj sama...

Krótkie było owo pośmiertne zawiadomienie nadesłane skądś od wybrzeża Montevideo:

"Imigrantka Manta Cuili Meque, nagły zgon na pokładzie frachtowca Mercator C z Rio Grande.

Zanim dziennikarz, zbierając rozpieczętowane myśli, wziął się do przerobienia skromnej notatki, która nie należała jeszcze do rzędu upragnionych gwoździ, ale bądź co bądź zasługiwała na obszerniejsze potraktowanie, chodziło bowiem o żalobną wiadomość z grona szczupłej rodziny pracowniczego pisma, — do pokoju wpadła Basia, siedemnastoletni przedmiot dumy redaktorostwa. Powia-

— A tu w żalobnej obwódcie — imienny spis zwłok, które zdołano zidentyfikować.

Palec redaktorski wodził po drukarskim maczku, aż przystanął nagle.

"Juan Quilimeski, tipografo, 50 años, polaco."

— Janku, ej Jasiu, Jasieczku! To tamtędy wypadła ci droga, żebyś trafił do swojej Marty?

Stało się!

Korbacz chwycił za słuchawkę.

— Panie Em, chcę zapytać...

— Nie zawracaj mi pan głowy, panie Ko, bo nie wiem czy ją jeszcze mam. Żeby ten wagabunda Ki nie doczekał jutra!

— Wyparz sobie brudną jadaczkę, włochaty łbie! Zgodnie z twoim życzeniem nasz Kilimek jest już nieboszczykiem. Co, nic jeszcze nie wiesz? Zginął biedak w katastrofie na Riachuelo. Siedź więc cicho, nie jęcz i słuchaj o co pytam. O której godzinie będzie wolny któryś z linotypów?

— Ano, o dziesiątej w nocy zwolni się numer dwa.

— Czy to jedna z tych twoich starych wiedz?

— Ba, właśnie ta najstarsza, niedawno temu reperowana.

— Czy polski magazyn jest w dobrym stanie?

— Juancinito zostawił go wczoraj jak zwykle. Oj, oj! aby tylko nie nie bra-

kowało, oj, oj!... Czy postarał się pan może o nowego linotypistę?

— Ja sam przyjadę, żeby zagrać na tym zardzewiałym gruchocie.

— Oj, nie wiem, czy...

— Ty w ogóle nic nie wiesz! Nakład będzie o 500 egzemplarzy większy, niż w zeszłym tygodniu. Przygotuj papier.

— I-i-i, bueno, buenissimo, światły don Enrique. Już się robi, już!

Korbacz, odkładając słuchawkę, spojrział nieśmiało w stronę swego sławczyńskiego skarbu.

— Zosiu, — odezwał się cichym głosem — po południu trzeba będzie...

— żeby cię zastąpiła w redakcji zanim się prześpisz po orkiestrze, a przed drukarnią. Czy nie tak?

Redaktor nie odrzekł nic był już bowiem gdzie indziej myślami. Założył nowy arkusz pod wałek maszyny do pisania, ale nim usiadł przebiegł kilka razy dokoła pokoju wykrzykując z teatralnym gestem:

— Mam gwóździ... arcygwóździ... Al gran pueblo argentino salud! Materiał na całą pierwszą i ostatnią stronę: "Polak w Pampie adoptował sierotkę, wszyscy czytelnicy są proszeni na wujów". Pójdzie to z wiatrem po kwadryllach i kępach, od Patagonii aż po Paragwaj. Nawet osadnicze Misiones się ruszy. Drżycie konkurencyjne szczekaczki!

Otworzył na nowo okno, które żona już zamknęła i zapatrzył się w nieokreśloną dal.

— A gdy raz wystartujemy — snuł głośno marzenia — to nie będzie takiej siły, żeby nas miała powstrzymać. Albo nas to mało nad La Platą? Powstana wytwórnie spółdzielcze, ruszy własna kolonizacja finansowana przez spółdzielczy bank emigracyjny. Małemu silnikowi za ciężko. Dawajcie większy motor!

Mówiąc to porwał w ramiona małego Lucka.

— Widzisz, to wszystko za twoją przyczyną. Dziecko to wielka rzecz, wiem coś o tym, wiem... Ale nie wiedziałem, że taki brzdąc może naraz aż tyle zdziałać. Będziesz ty jeszcze, syneczku, słynnym inżynierem. Ale musisz ci powiedzieć, że nasza dola emigrancka jest taka parszywa, że musi wpięć uczyć ofiarę z całej rodziny, zanim ktoś inny wygramoli się z błotka. Ach, psiakrew, psiakrew!

To rzekłszy roztrzęsiony z lekka Korbacz usadowił chłopczyka na sterce druków zalegających redaktorskie biurko, po czym przystanął przed oniemiałą żoną i równie zaleknioną córką.

— Pamiętacie, — powiedział — jak mi w Sławicynie teść, mało ufny w szczególności gwiazdę zięcia, zalecił na wyjeździe, żeby patrzył z czego żyje? Złote słowa. Zawsze się nimi kierowałem. Na tej podstawie rozkazuję wam dzisiaj: kończcie co żywo z popłatami się w nitkach i frędzlach dla byle megier, z pomywaniem kufli dla pijaków.

Kaznodziejski ton męża zbudził w żonie instynkt samozachowawczy.

— Zapominasz, mój drogi, jak to było w ciężkich chwilach. Jedyny ratunek mieliśmy w starej maszynie do szycia i w skromnym groszu, który zdobywałam wśród patelni nocnego baru.

— A co będzie ze mną? — zapytała dziewczyna. — Tatusi mnie co prawda nauczył stukać jako tako na maszynie do pisania. Cóż, wielka mi korzyść: raczej po polsku, niż po hiszpańsku.

— W imieniu wielkiego dziennika "El Gran Diario Polaco" — oznajmił Korbacz — chwilowo jeszcze w fazie hm... hm... przedorganizacyjnej, mam zaszczyt zapytać obydwie panie zarówno exelentissimą donę Sofię Stawicką de Korbacz, jak i gentilissimą senioritę Ba-



**COMERCIAL
POLPARANÁ S.A.**

IMPORTAÇÃO — EXPORTAÇÃO — REPRESENTAÇÕES

TRATORES DE ESTEIRAS - TRATORES DE PNEUS - IMPLEMENTOS AGRÍCOLAS - COLHEDEIRAS - CARRETAS - MAQUINARIA PARA TERRAPLANAGEM E EQUIPAMENTOS CONGÊNERES - ESCAVADEIRAS - ARAMES-GRAMPOS MAQUINAS OPERATRIZES - MATERIAIS ELÉTRICOS - CENTRAIS TELEFÔNICAS - EQUIPAMENTOS CIRÚRGICOS - APARELHOS CIENTÍFICOS PARA LABORATÓRIOS - MOTORES ESTACIONÁRIOS - MAQUINARIAS E EQUIPAMENTOS P/ INDÚSTRIAS - BEBIDAS E COMPOTAS ESTRANGEIRAS.

ALAMEDA CARLOS DE CARVALHO, 356/360 - FONE: 4-1574

CURITIBA — PARANÁ — BRASIL

się Valdivię dwojga imion Korbaczankę, czy zechcą przyjąć stanowiska w administracji i w sekretariacie nowego wydawnictwa. Dla nabrania wprawy — dodał — odbędzie się zaraz kurs przyspieszony, oczywiście, za wynagrodzeniem.

A gdy żona i córka rzuciły mu się na szyję oszołomiony redaktor wśród objęć i pocałunków zdołał zaledwie wykrztusić:

— Staniemy się znowu rodziną. Jak to dobrze, jak cudownie być na nowo razem... Zawdzięczamy to naszej braci wychodźczej, która poparła swoje pismo, oddane jej biedom i niedolom i zapewniła mu samowystarczalność.

Bek syren z portu ustał na chwilę. Wokół bonaereńskiego mrowiska, wymotanego z zasłon dżdzu, rozpalili się w słońcu srebrzyste rozłogi bezkresnej pampy pod szronem. A w mętnej toni La Platy, w której koryto można by przelać dziesięć Wisły, przejrzał się czysty błękit nieba i nastał dzień pogodny jak wtedy, gdy pierwsi żeglarze, strudzeni po burzach u przylądków Urugwaju, znaleźli się niespodzianie na gładkich wodach Słodkiego Morza, wykrzyknęli, nie mogąc wyjść z podziwu:

— Co za pomyślnie wiatry wieją w tych nieznanach stronach...

— Baczysz, jakie tu dobre powietrze?...

Kto starszy pomni do dzisiaj ów żalobny dzień. Podpisany ma szczególniejszy powód, żeby nie zapomnieć o wydarzeniu: przybył do Buenos Aires naza-jutrz po katastrofie.

OSTATNIO MNOŻĄ SIĘ WYPADKI NIE DOSTARCZANIA PRZEZ POCZTĘ NASZEGO PISMA ABONENTOM. - PROSIMY O ZGŁASZANIE REKLAMACJI DO ADMINISTRACJI NASZEGO PISMA.

Artykuły luksusowe męskie. Artykuły importowane. Materiały krajowe i zagraniczne.

**Pracownia krawiecka
(kierownictwo włoskie)
KOSZULE NA MIARĘ**

Dandy

**J. Grunpeter (dawn. Katowice)
R. Oscar Freire 667 (esq. R. Augusta)
SAO PAULO**



Rodofiel S.A.

Wynaradawiamy się

ROMAN SŁADOWSKI

Od przeszło stu lat emigrowali Polacy w cztery strony świata. Wyganiała ich z kraju nędza lub przemoc polityczna. Ci jednak, którzy znaleźli się za granicą po r. 1939 nie zrobili tego napewno z przyczyn natury gospodarczej.

W potocznym tego słowa znaczeniu emigrant to taki sobie pan, który wystarał się o wizę, spakował w spokoju manatki, polikwidował interesy, pożegnał rodzinę i przyjaciół i wyjechał do wybranego **uprzednio** kraju, by urzeczywistnić tam powzięte **uprzednio** zamiary. My wyjechaliśmy nagle — jedni na rozkaz, drudzy ostrzeżeni, inni by uciec przed okropnościami wojny, inni jeszcze, uratowani cudem przez Opatrzność, po zwolnieniu z oflagów i lagrów. Wybierając Brazylię jako kraj, w którym przyjdzie im żyć, pracować i umrzeć, jedni zrobili to przypadkowo, inni — na skutek trzeźwego i przemyślanej kalkulacji. Wielu, niewątpliwie, dziękuje Bogu, że natchnął ich wyborem tego kraju słonecznego, pięknego i pełnego bogactw, w którym serca i ramiona otwarte są dla wszystkich i w którym możliwości bytu istnieją dla każdego kto chce i umie pracować.

W wielu dziedzinach życia staliśmy się w Brazylii pionierami. Wielu z nas, pokonując nieprzewidywane zdawało by się trudności, osiągnęło dzięki usilnej pracy dobre wyniki.

Nie jesteśmy mimo to emigrantami zarobkowymi. Stosowniej było by i jak mi się wydaje rozsądniej użyć w stosunku do nas nazwy **emigrant polityczny**. Powody, dla których nie wróciliśmy do Ojczyzny, są każdemu z nas dobrze znane i tkwią napewno w duszy i w sercu każdego z nas. Złocą się łany polskich zbóż, pachną polskie lasy, polskie kwiaty, ale my już chyba pozostaniemy na obczyźnie i nie przestaniemy śpiewać: "Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!"

Siła żywotna Narodu Polskiego jest rzeczą charakterystyczną i znaną. Naród Polski sprawił, że z zawieruchy wojennej wyrosły nowe miasta i wsie. Czyżby bez zastrzeżeń dało się zastosować powiedzenie o sile żywotnej Polaków do nas mieszkających w Brazylii?

Pokonaliśmy wszystkie trudności, urządziliśmy się, dając naszej nowej, przybranej ojczyźnie to co było w nas najlepsze i otrzymując w zamian te wspierające możliwości, które ona nam ofiarować mogła, ale nie zdołaliśmy pokonać jednej przeszkody. Nasza polska mowa i tradycje domu polskiego wygnane zostały w większości wypadków z naszych rodzin. Podczas, gdy my, starzy już i zmęczeni walką o byt, rozmawiamy między sobą, kłócimy się i liczymy po polsku, nasze dzieci mówią już tylko po portugalsku. Znaleźliśmy dostateczną siłę, by pokonać piętrzące się na naszej drodze przeszkody, słabi jednak jesteśmy i bezsilni wobec naszej młodzieży, którą tłumaczymy... szkołą, do której uczęszczają, otoczeniem. Aby zabić wyrzuty sumienia mówimy w końcu: "a gdzie można zająć się językiem polskim?"

Patrząc na ten problem z największym pobłażaniem, rozsądkiem i jakby "żałosnym wyrozumieniem" dochodzimy do przekonania, że poza pionierami pracy jesteśmy też w pewnym stopniu pionie-

rami wynaradawiania się. Przyszłe pokolenia nie już z nas nie będą miały poza majątkiem i nazwiskiem. A co do nazwiska to, kto wie, czy owe przyszłe pokolenia nie zechcą go zmienić ze względu na trudności wymowy.

Nie ośmielamy się nikogo krytykować. Każdy ma prawo tak myśleć i działać jak chce, ale czy musi tak myśleć i działać jak chce jego dziecko?

Jeśli mieliśmy dostateczną energię i siłę, żeby przezwyciężyć wiele trudności dlaczego nie starczy nam sił, żeby pokonać tę jedną jeszcze? Jeżeli siła kupna języka portugalskiego jest dla nas tak wysoka nie obniżajmy **ceny sprzedaży** języka polskiego, którym mówili nasi ojcowie i my nim jeszcze mówimy. Nie bądźmy ostatnimi Mohikaninami.

NOCNY NAPAD

MICHAŁ SEKUŁA

Interes mój rozwijał się dobrze i trzeba było założyć filię w osadzie Papagaios Novos.

Handel produktami rolnymi wymagał odpowiednich kapitałów, a brzęczącej monety nie posiadałem wiele, miałem natomiast kredyt i zaufanie rolników, którzy zostawiali mi produkty na okres trzydziestu dni lub na wymianę za towary. Byli i tacy, którzy dawali mi gotówkę do przechowania lub obrotu i tu moja praca na polu oświaty gromad przynosiła duży zysk — zaufanie wytwórców.

Kredyt to dobra rzecz trzeba się jednak starać, żeby go nie utracić, żeby nie zarwać zaufania wierzycieli. Prowadząc interes na większą skalę i intensywnie, a nie posiadając większego kapitału, sprzedawałem towary z małym stosunkowo zarobkiem i równocześnie płaciłem rolnikom nieźle ceny za produkty rolne.

Zasadą moją był szybki obrót i duża sprzedaż.

Pracowałem od godziny szóstej rano do siódmej wieczór w sklepie, nocą w magazynach, a wyjeżdżając w sprawach handlowych załatwiałem je szybko, bez straty czasu.

Moja filia handlowa w Papagaios Novos nie prowadziła skupu produktów rolnych tylko sprzedawała wszystko, co rolnik lub człowiek leśny potrzebował, więc gromadziła gotówkę, po którą często jeździłem.

Koloniści z Papagaios Novos przywozili mi zboże. W razie potrzeby zabierałem się pod wieczór z pierwszym lepszym, a nocą, podjawszy gotówkę, wracałem piechotką, pokonując trzy mile drogi w ciągu trzech godzin.

Pewnego razu zimową porą przyjechałem do Papagaios Novos już w nocy. Brał dobrze mróz, pogoda była cudowna, a firmament tak upstrzony ciałami niebieskimi, że zdawało się, że gwiazda wysadza gwiazdę. W przyrodzie panowała cisza bez najmniejszego wiatru. Powietrze było rześkie, zdrowe, chociaż ciemno, jak zwykle o nowiu.

Podjąłem pieniądze, posiliłem się i w drogę. Wspólnik mój, León Nowicki, prosił, żebym przemocował, ale że to strata czasu, więc powiedziałem: bądź zdrow i już mi nie było.

Nie uszedłem ani dwustu metrów, a coś mi wprost ścisnęło koło serca i jakby mi ktoś nakazał:

— Weź brauning do garści.

Pokonałem może dwa kilometry i dochodziłem do zakrętu w rodzaju petli, gdy usłyszałem warczenie psa, a następnie wyraz: "Pega!"

Duże psisko rzuciło się na mnie i w tym samym momencie dostało kluskę w pysk. Zaskowyczało przeraźliwie, a ja rzuciłem się błyskawicznie na przelaj, przecinając petlę wirażu na stepie.

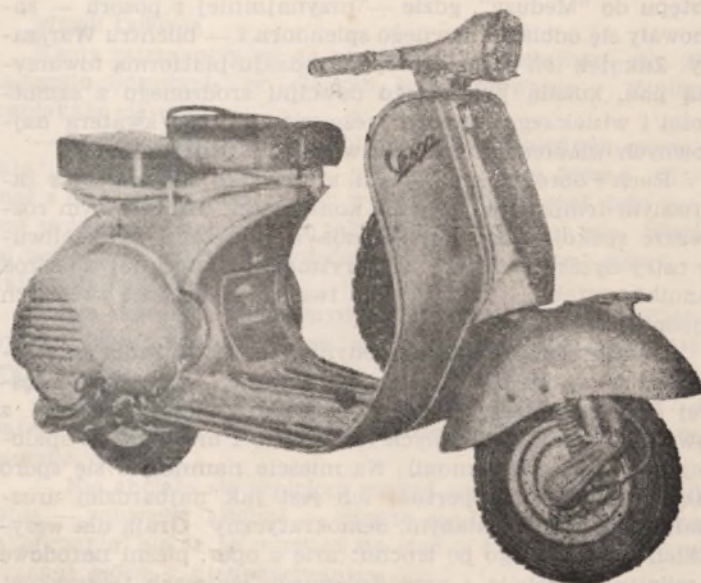
Wypalono kilka razy w moją stronę, ale spudlowano; znalazłszy się na drodze poza zakrętem przykucnąłem. Zobaczyłem dwie osoby, podążające w moim kierunku.

— Wróćcie się! Szkoda mi waszego życia — zawołałem.

Poderwałem się i jakieś dwieście me-

(Dokończenie na str. 24)

Vespa



Starmotor Comércio e Importação S. A.

Rua Martins Fontes, 185. - Tel.: 32-2027 - SÃO PAULO

Wieczna ondulacja

(Skrót fragmentu z pamiętnika wojennego)

Mira Lampe-Sławińska

Dzisiaj przyjrzałam się sobie w lustrze... Wszystkiemu winien mróz. Nosa nie chce się człowiekowi wysadzić z domu. Ale nie mogę już zwlekać. Jutro wybiorę się do Michała, to i rozerwę się trochę. Jego salon fryzjerski mieści się obecnie w Alejach Jerozolimskich. Dawny, z placu Trzech Krzyży, niewielki ale urządzony jak najnowocześnie i z gustem (Michał praktykował za młodu w Paryżu), ocalał wprawdzie przed bombami ale nie przed chciwym okiem Niemca, cyrulika przesiedlonego z dymiącego Hamburga na ostygie już gruz Warszawy. W zamian Michał otrzymał nędzne odszkodowanie w postaci wypalonego mieszkania parterowego w poważnie uszkodzonym domu. Zakasał rękawy i przy pomocy jednorękiego murarza nadał lokalowi przyzwoty wygląd schludnej wybielonej stodoły. Z przydziału szyb oszklili wystawę zbitą z desek, okna obili dyktą ze wstawionymi po środku świetlikami z resztek szkła, taczka do węgla zwiózł z Kercelaka z tuzin krzeseł różnego stylu, kilka aparatów starego typu, parę porysowanych luster z szaf i tak "wyręchtowany" zakład, pomimo wielu braków, zaroził się w krótkim czasie od niepośledniej klienteli.

Obecnie jest już ucywilizowany, nazywa się "Meduza" i będąc renomowaną siedzibą kultu piękna i estetyki, jest zarazem... jedną z filii czarnego rynku. Przy odpowiednio nabitej kabzie można zaopatrzyć się tam we wszystko czego już od dawna nie ma w sklepach. Każdy stolik do manicure'u, każda szafka, kryje w sobie rarytasy pochodzące z przemysłu, z paczek z zagranicy oraz pozostałości z magnackiej fortuny zubożałych elegantek, które za pośrednictwem personelu "Meduzy" spławiają je damom wydania wojennego. A więc można tam nabyć cienkie, jak pajęczyna pończoszki, kupony prawdziwego jedwabiu włoskiego, angielskiej wełny, francuskie perfumy, herbatę cejlońską, kawę brazylijską, portugalskie sardynki, greckie rodzynki, grzebień szylkretowy a nierzadko z czyjejs mocno wyswiechtanej torby do zakupów wypelza wspaniały okaz srebrnego lisa, błysnie złota bransoleta czy brylant, wielkości poziomki.

Codziennie trwogi i bieda wojenna zdają się nie mieć wstępu do "Meduzy", gdzie — przynajmniej z pozoru — zachowały się odblaski dawnego splendoru i — blichtru Warszawy. Zakątek ten stał się swojego rodzaju platformą towarzyską pań, kuźnią pikantnego dowcipu zrodzonego z samotności i wisielczego humoru "rezerwistek" oraz kwaterą najnowszych wiadomości z teatru wojny i z podziemia.

Ruch i obrót, jak na rynku, a wszystko odbywa się w zawrotnym tempie i w gorączce konspiracji. Ginie w tym rozgwarze spokojny baryton Michała a raketami wystrzeliwuje ostry dyszkant Ziutki, najsprytniejszej kupcowej z pośród manikurzystek, o sympatycznej twarzy andruski i zwinnych ruchach wiewiórki.

Do niedawna brakowało jedynie muzyki — radia są przecież od początku okupacji skonfiskowane — ale coraz częściej przystaje przed "Meduzą" orkiestra uliczna, złożona z inwalidów, niezatrudnionych śpiewaków i muzyków ze spalanej Opery czy Filharmonii. Na mieście namnożyło się sporo takich zespołów. Repertuar ich jest jak najbardziej urozmaicony i, powiedziałabym, demokratyczny. Grają dla wszystkich i wszystkiego po trochu: arie z oper, pieśni narodowe i religijne, przeboje z przedwojennych wesołych teatrzyków, dwuznaczne kuplety, dowcipnie wyszydające okupanta.

— ★ —

Jeżeli każdy wypad do fryzjera uważałam dotąd za rozrywkę, to za dzisiejszy musiałam drogo zapłacić. Zaczęło się od

czekania, jak zwykle. Z braku miejsca przykucałam na jakimś taborecie w części lokalu zwanej suszarnią. Tam było najcieplej i widok na cały front salonu. Panie czekające swej kolejki, siedziały pod ścianą, gawędząc i żwawo szydełkując. W pewnej chwili gwar umilkł, jak na komendę i spojrzenia wszystkich skierowały się ku wchodzącej nowej klientce. Była to młoda, niezwykle urodziwa brunetka o zielonych oczach. Otulona była w wspaniałe lśniące karakuly, obuta w kapce zakopiańskie, zbyt białe, by można było powiedzieć o nich: a to jeszcze sprzed wojny...

Różniła się od otoczenia nie tylko wykwinłą aparycją. Sprawiała wrażenie, że Wrzesień przeszedł obok niej, nawet nie zadrasnąwszy. Wypielęgowana, zadowolona, choć o z lekką wyniosłym uśmiechu, emanowała jakiś wewnętrzny spokój, o który teraz bardziej niż trudno. Było w niej wiele z wyrafinowanej dystynkcji wielkiej aktorki i trochę ze ślicznej uczennicy już świadomej swego dziewczęcego powabu. To też nic nie pozostawało nam do dodania jej lub do ujęcia. Zaczęłyśmy natomiast na prześcigi zgadywać jej tożsamość. Kim była? Żadnej z nas nie wydawała się znana ze sceny, z kawiarni czy z towarzystwa.

Nieznajoma zdążyła w międzyczasie zdjąć okrycie, zamówić "wieczną", wyjąć z ogromnej mufy mały tomik ze złoczonymi brzegami i usiadłszy na dopiero co zwolnionym krześle, zagłębiła się w czytaniu.

Zainteresowanie się nią wzrastało. Jedna z ciekawskich pań przywołała do siebie Ziutkę i po chwili już sobie szeptała, jak w grze "w telefon", że tajemnicza piękność jest od dawna klientką Michała i Ziutki, ale prywatną; że jeżdżą co pewien czas do jej podmiejskiej willi, że mąż jej przebywa za granicą, że zastępuje go młody, przystojny ale wiecznie znudzony lalusz, że...

Nie dosłyszałam końca, bo przyszła kolej na moje włosy. Po pewnym czasie zwolnił się fotel obok mnie i zajęła go piękna nieznajoma. Jeszcze nie usadowiła się dobrze na swym miejscu, gdy podbiegł do niej portier i wręczając małą kopertę, wskazał na drzwi wejściowe. Stał w nich młody, przystojny człowiek lat dwudziestu kilku w okazałej pelisie. Futrem podbita była i jego czapa z nausznikami, spod której para ciemnych przenikliwych oczu niespokojnie wyczekiwała jakiegoś znaku ze strony młodej kobiety. Ta wychyliła się nieco z fotela i z uśmiechem skinęła głową w jego kierunku. Po tym niemym porozumieniu młodzieniec natychmiast znikł. Piękna pani jeszcze raz przebiegła wzrokiem treść bileciku i najwidoczniej z czegoś zadowolona poddała się nudnym przygotowaniom do "wiecznej" ondulacji.

Czas zwolnił tempo. Bezczytność i ciepło zaczęły kołysać do błęgiego półsnu... Otrzeźwiło mnie ostre szarpnięcie za rękę. To Ziutka, zajęta właśnie moimi paznokciami, poderwała się wystraszona. Nie mogłam nic usłyszeć spod hełmu ale w lustrze odbijało się jakieś nerwowe poruszanie. Odetchnęłam gdy stanął za mną Michał by mnie oswobodzić. Był blady. Nie poruszając niemal — że wargami, wyrecytował, jak brzuchomówca:

— Gestapo siedzi. Przyszli po nią.

Młoda kobieta siedziała w fotelu nieco pochylona do przodu pod ciężarem rolek. Drżały jej ręce.

— Dlaczego jej tego nie zdejmiecie, jeżeli ona musi iść — zapytałam po cichu.

— Chciałem. Nie pozwolili, choć ona też prosiła. Kazali dokończyć...

Gdy Michał odszedł na bok, mogłam przyjrzeć się nie-



Dolina Chochołowska w Tatrach.

znajomej. Była trupio blada i gdyby nie czerwone smugi pojawiające się na szyi, mogłaby wydawać się figurą z wosku. Jej zielone oczy, nadmiernie rozszerzone patrzyły przed siebie szklanym nieruchomym wzrokiem. Michał wrócił i wyłączył elektryczny stojak za nią.

— Już, proszę pani — wyksztusił z trudem. Poruszyła się i spojrzała w lustro.

— O, Boże — krzyknęła, jakby zobaczyła upiora i zasłoniła twarz rękami. Dwaj mężczyźni w cywilu, którzy dotąd siedzieli pod ścianą naprzeciw swej ofiary, podnieśli się ze swoich miejsc i wolno szli ku niej. Wzrok nieszczęsnej musiał skrzyżować się z ich na poły drwiącym, na poły zaciekawionym wyrazem oczu, bo znowu krzyknęła, poderwawszy się, jak do ucieczki.

— Ruhe, Ruhe — zalecił jej spokój niższy z obydwu, ale o silnej krępej postawie. Teraz drgnęłam ja. Z jego szerokiej, żółtawej, nieco mongolskiej twarzy poznałam Henryka Cytryna. (Imię i nazwisko autentyczne). Jest on jedną z anomalii hitlerowskiej Służby Bezpieczeństwa: będąc łodzianinem i nie-aryjczykiem, jest ślepo oddanym funkcjonariuszem Gestapo i specjalistą od "wywachiwania" swoich. Jego kwadratowa sylwetka jest postrachem wszystkich polskich lokali. Przeważnie chodzi w mundurze, głośno mówiąc po niemiecku. I dzisiaj u Michała cały czas tym językiem się posługiwał, choć znajdował się wśród Polaków.

— Bedienen Sie ruhig die Dame, bitte — cedził z irytującą wprost uprzejmością, będącą niczym innym, jak preludium do dalszych, okrutniejszych jeszcze tortur, jakie czekały na jego ofiarę.

Michał przy pomocy rozdygotanej Zjutki, dmuchając co chwila w palce, zdejmował gorące jeszcze rolki z głowy nieszczęśliwej kobiety.

Nastąpiła grobowa cisza. Przerzywały ją tylko głośnie oddechy obecnych i szelest odwijanej cynfolii.

... cztery ... pięć ... sześć ... siedem...

Spostrzegłam, że padające na podłogę srebrne płatki — liczę nie tylko ja.

... osiem... dziewięć... dziesięć...

W powietrzu czuło się wzmagający niepokój. Śledziłyśmy każdy ruch fryzjera.

... jedenaście... dwanaście... trzynaście... czternaście...

Srebrne wycinki cynfolii coraz szybciej padały wokół młodej kobiety. Praca Michała dobiegała końca. Wyższy z gestapowców przestał palić papierosa i niedopadek zgniótł butem, jak karalucha, widocznie wyładowując w ten sposób niecierpliwość, ale opanował się, wstał i zaczął przechadzać się po salonie wielkimi, miarowymi krokami.

Rozległ się dzwonek telefonu, ale Niemiec stanowczym ruchem ramienia wzbronił podniesienia słuchawki. Telefon zadzwonił jeszcze kilka razy. Każdy sygnał brzmiał przeciągle i boleśnie, jak skarga, której nie można wysłuchać. A może był to czyjś nagły wyrzut sumienia?

Na podłogę padł ostatni srebrny płatek, jak ostatni liść, z drzewa skazanego na ścięcie.

I znowu zaczął się kontredans czasu ze śmiercią; gestapowcy zażądali, żeby fryzjer swój dramatyczny zabieg doprowadził do końca.

— Pani napewno nie zechce wyjść stąd nieuczesana — zauważył ze słodkim cynizmem Henryk Cytryn.

Ziutka myjąc głowę nieszczęsnej klientce, mówiła coś do siebie po cichu, jakby odmawiała pacierz albo wieczne odpoczywanie za kogoś, kto wprawdzie jeszcze nie umarł, ale i żywym już nie był...

Suszenie włosów młodej kobiety trwało trzy pełne kwadransy a nam się zdawało, że wloką się wieki. Świadomość, że lokal był zaryglowany, że nie wolno było nikomu wejść ani wyjść, pogarszała jeszcze stan ducha obecnych. Jednej z kobiet nerwy nie wytrzymały napięcia, zaczęła protestować na wpół po niemiecku, na wpół po polsku, bez ładu, bez składu, ale wystarczyło jedno spojrzenie Henryka Cytryna by "uspokoić" ją i — nas. I znowu zaległa cisza, tylko w głowach świdrowały przeróżne myśli.

— Czy przed domem stoi "buda"?

— Wezmą tylko ją czy i Michała?

— A może wszystkich?

— Zrewidują lokal i znajdą "towary"...

— Zrewidują nas i znajdą "gazetkę"...

— Co przypuszczają w domu, już od dawna ciemno...

— ★ —

Wzięli tylko ją.

Kiedy zatrzasnęły się za nimi drzwi, wydało nam się, że nastąpiło odwołanie po ciężkim bombardowaniu. Ziutka rozplakała się w głos.

— To była taka anielska kobieta. Ile ona biednym pomagała. A ten drań zdradził ją, jak Judasz Pana Jezusa. Ciągnął z niej, co się dało, rzeczy wynosił i sprzedawał, żeby potem przegrać w kasynie. A jak powąchał, że już nie wiele jej zostało, to ją samą sprzedał. O, proszę, co tu "pisze" — podsunęła mi bilecik.

Słowa skreślone nierównym, niewyrobnym pismem odkrywały dwie najpodlejsze ze zdrad: miłości i tajemnicy krwi...

— Będę czekał przed sklepem św. Wojciecha. Wyjdź o piątej. Nie oglądaj się. Razem pójdziemy do dworca. Bilety kupione. Stach.

— Nie chciał się szpiclom czekać na mrozie, to i weszli tutaj — zauważył Michał — zawsze się obawiałem takiego zakończenia, ale że to musiało się stać w taki sposób — potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Pierwsza uczciwa "wieczna" ondulacja w pańskiej karcierze fryzjera — usłyszałam za sobą czyjś piskliwy głos — potrwa niebodze aż do samej śmierci.

Mira Lampe-Sławińska.

KRÓLEWNA POLSKA NA TRONIE HISZPAŃSKIM

MIKOŁAJ WIOROGÓRSKI

Rio de Janeiro

Jadąc swego czasu z Paryża do Marokko i stąpiłem do Simancas w Nowej Kastylii by przejrzeć w tamtejszym archiwum dokumenty dotyczące małżeństwa księcia hiszpańskiego Karola VII, późniejszego króla Obojga Sycylii, a następnie króla Hiszpanii, (co pociągnęło za sobą zmianę imienia z Karola VII na Karola III) z królową polską Walburgą, (nazwaną przez Rzym Marią Amelią), córką Augusta III Sasa.

Dawno już mnie interesowało jak doszło do owego małżeństwa.

W owych czasach Europę rządili Burbonowie. Zasiadali na tronach Francji, Hiszpanii, Portugalii i niewielkich królestw włoskich.

Karol VII Bourbon, urodzony w r. 1716, mały, gdyż liczący zaledwie półtora metra wzrostu, odznaczający się za to olbrzymim nosem, dzięki staraniom matki, Elżbiety Farnese z Parmy i przy pomocy ojca, Filipa V króla Hiszpanii, od r. 1734 panował w królestwie Obojga Sycylii.

Warto tu nadmienić, że Karol miał też tytuł księcia Argentyny, a siostra jego, Izabela, która urodziła się w tymże roku co i on, nosiła tytuł księżniczki brazylijskiej. Tak daleko sięgały wpływy wielkiego Filipa V!

Burbonowie nie zadowalali się opanowaniem całej prawie zachodniej Europy. Od dawna już mieli ochotę na osadzenie jednego z członków rodu na tronie polskim. Z tego zapewne względu ożenili Ludwika XV, króla Francji, z Marią, córką Stanisława Leszczyńskiego.

Ale, jak wiadomo, król Stanisław Leszczyński nie utrzymał się na tronie polskim mimo poparcia Burbonów i Karola XII króla Szwecji, a małżeństwo Ludwika z Polką przyniosło Francji jedynie kłopoty.

Stanisław Leszczyński po opuszczeniu Polski i zamieszkaniu w Lotaryngii, nie chciał dopuścić żadnego cudzoziemca na tron, któ-

ry tak nieszczęśliwie utracił. Szkodził kandydatom cudzoziemskim i psuł im szyki wysyłając swych emisariuszy do Polski i zapatrując ich w odpisy swego dzieła: "Głos wolny — wolność ubezpieczający".

Tak się właśnie złożyło, że królowa Elżbieta, która знаła historię i rozporządzała dobrym wywiadem, uznała, że tron polski był by w sam raz dla jej ukochanego Karolka. Sycylia była, jej zdaniem, zbyt małym królestwem dla chłopca bystrego, inteligentnego, władającego pierwszorzędnie bronią, kochającego konie i polowania, a przy tym doskonałego gospodarza i urodzonego polityka. Po rozejrzeniu się w sytuacji i wiedząc, że August III, król Polski, ma córkę, wprowadził brzydką, ale zdrową, wybrała ją na żonę dla swego syna. Nawiązała kontakt z żoną Augusta, Marią Józefą i obie mamy dogadały się. Karol został zaręczony z Marią Amelią, a wkrótce potem papież Klemens XII pobłogosławił ich związek.

Amelia miała czternaście lat, nie była, jak się rzekło, ładna, ale i Karol, mający lat dwadzieścia dwa, nie był Adonisem. I mimo to, a może właśnie dlatego pokochali się.

Ślub odbył się w r. 1738 z niesłychaną pompą i rozrzutnością właściwą Augustowi III. Skarb polski nie poskąpił grosza, aby Drezno mogło się bawić i aby wino płynęło strumieniem.

Karolowi, szczęśliwemu w małżeństwie, nie psuł później humoru fakt, że musiał płacić długi teściu. Zapraszano na huczne polowania poenał Saksonię i Polskę, był honorowany i goszczony należycie. Prócz innych odznaczeń otrzymał też specjalnie dla niego stworzony order św. Huberta, patrona myśliwych. Kazał też August, znający ludzkie słabości, nadwornemu swemu malarzowi, Rafaelowi Mengsowi, wykonać portret zięcia w lekkim srebrnym półpancerzu i w królewskim gronostajowym płaszczu, ale w pozycji siedzącej, aby ukryć nikły wzrost wielkiego myśliwego i króla słonecznej Sycylii.

Karol i Maria Amelia rządzą nienajgorzej królestwem Obojga Sycylii: budują szkoły, fabryki porcelany na wzór saskich i polskich, zakładają i popierają teatry marionetek. W tych teatrach kukielki mają śliczne porcelanowe główki.

Ale sascy rodzice nie mają z nich wielkiej pociechy. Słyszą co ludzie mówią o Augustcie i jego małżonce pobożnej aż do przesady, Marii Józefie, leżącej codziennie krzyżem w innym kościele. O tej Marii Józefie krążyła zabawna anegdota w Warszawie, gdy w r. 1740 urodziła córkę, młodszą siostrę Marii Amelii. O "szczęśliwym wydarzeniu" doniósł ówczesny "Kurier Polski" w notatce, do której zakradł się błąd drukarski. Zamiast wyrazu: "królowa" nieuważny cecer złożył: "krowa" i odtąd złośliwi tak Marię Józefę nazywali.

Do oziębienia stosunków przyczyniła się również matka Karola, która nie lubiła swej brzydkiej "kumy", dewotki. Doradzała jej w listach, żeby leczyła swą "jakąś dziwną chorobę" w błotach Ischii; podejrzewała ją, prawdopodobnie, o syfilis. Niezwykle skąpa zabroniła Karolowi płacić długi Augusta, w czym kochający syn słuchał jej skwapliwie.

Jedynym wartościowym spadkiem po teściu był dla Karola nadworny malarz Augusta, znakomity portrecista Rafael Mengs,

przyrównywany przez niektórych pod względem talentu do wielkiego Rafaela. Uczynił go swoim nadwornym malarzem. Ojciec Rafaela, Ismael, był semickiego pochodzenia, urodził się w Danii, ale mieszkał w Czechach, gdzie prowadził szkołę malarską. Mengs — ojciec miał jeszcze drugiego syna, który nie chciał być malarzem i został ku rozpacz rodziciela jezuitą.

W r. 1759 umarł Ferdynand VI, syn Filipa V z pierwszego małżeństwa, a brat przyrodni Karola. Elżbieta rezygnuje wówczas ze starań o koronę polską dla Karola i osadza go na tronie hiszpańskim.

Karol przenosi się z Sycylii do Madrytu. Tam jednak królowa Maria Amelia nie czuje się już tak dobrze. Przestaje się wtrącać do spraw państwa, stroni od zabaw i dworu, zaczyna jej nie dopisywać zdrowie. Jej troje dzieci, choć tegie i puciołowe, także nie są zbyt zdrowe. Babka Elżbieta, kocha niby wnuczęta, ale synowej nie znosi, zwalcza ją jawnie i skrycie. Cały dwór podziela zdanie królowej matki, że w nowej sytuacji króla Hiszpanii Karol potrzebuje innej żony.

W pierwszym roku pobytu w Hiszpanii Maria Amelia pozuje Mengsowi do portretu i to na wzór Velasquezowskich portretów królewskich pozuje na koniu. I zdarza się nieszczęście. Ktoś ploszy konia. Ognisty rumak ponosi, królowa spada, rozbija głowę i umiera.

Przeprowadzone dochodzenie niczego nie wyjaśniło. Malarz Mengs twierdził, że przed koniem wyrósł nagle jak spod ziemi jakiś czarny mnich i przestraszył zwierzę. Na dworze szeptało sobie, że jezuita maczali ręce w tej tragedii, że zła teściowa... Jak tam było naprawdę nikt się nigdy nie dowiedział.

Król Karol pozostał jednak wierny swej cichej i smutnej żonie. Mimo namów "kochającej mamusi" do końca życia nie wstąpił w nowe związki małżeńskie.

Zamknął się w sobie i oddał całkowicie sprawom państwa. Za jego panowania Wielka Inkwizycja straciła swój wpływ i znaczenie. Wykonanie orzeczonej przez nią wyroków śmierci uzależnił od swego podpisu i przestał te wyroki podpisywać. Słynne są jego posunięcia dyplomatyczne. Potrafił rzucić Francję przeciw Anglii, walczącej wówczas ze swą zrewoltowaną kolonią północnoamerykańską. Dzięki temu Stany Zjednoczone uzyskują niepodległość.

Karol III schodzi z tego świata w r. 1788, mając lat 72, przeżywszy swą łagodną żonę o 28 lat.

W r.b. w miesiącu październiku mija dwieście lat od zgonu Marii Amelii, córki króla polskiego, Augusta III, zwanej na dworze saskim Walburgą.

W wieku XVIII zasiadały na dwóch najpotężniejszych dworach europejskich dwie polskie królowny, córki dwóch największych wrogów: Stanisława Leszczyńskiego i Augusta III Sasa. Obie były żonami Burbonów, stryjecznych braci, królów Francji i Hiszpanii.

Żona Karola III była o tyle szczęśliwsza, że mąż szczerze ją kochał, podczas, gdy Ludwik XV, tonąc w wirze dworskiego życia i hulał, zaniedbywał Marię Leszczyńską. Maria Amelia i Karol III nie lubili szumnych zabaw, woleli zacisze domowe. Tworzyli cichą i zgodną rodzinę — tyle, że szczęście ich nie trwało długo...

Mikołaj Wiorogórski

W kilku wierszach

W latach 1956-1960 wprowadzono w Polsce sukcesywnie 30 proc. obniżkę podatku od wynagrodzeń. Ostatnia grupa pracowników objęta została obniżką 1 stycznia 1961 roku. Całkowicie zwolnieni zostali od podatku pracownicy zarabiający do 850 zł. miesięcznie.



Karol III król Hiszpanii.

FRASZKI BIBLIJNE

Gdyby było mniej Dalil, a więcej Samsonów
Ludzkość nie zdążyła by stawić panteonów.

Lecz cóż? Trzeba się zgodzić z tym rzeczy porządkiem,
Ze Dalile są częste, Samsony wyjątkiem.

Dawid i Goliat

Wyszedł Goliat w pole w otwartej przyłbicy
I czekał, aż ku niemu wyjdą ochotnicy.
Lecz w przeciwnym obozie nikt nie był dość śmiały
By się zmierzyć z olbrzymem. A wtem Dawid mały
Wysunął się z szeregów i kamieniem z procy
Trafił śmiertelnie wroga w czoło między oczy.

Na wojnie, jak na wojnie — podstęp nie jest wtną.
Ale żal mi olbrzymów, co bez walki giną,
Bo ich nagle, z ukrycia, dosięgła ztrata.
Dawid nie był rycerzem. Żal mi Goliata.

Samson i Dalila

Wężami krągłych ramion miękko otoczony
Zasnął Samson, nadmiarem pieśzczoł utrudzony.
Nieruchomo czekała Dalila ze drżeniem
Chwili, co jej da chwałę, jemu zatracenie.

Spał.

Ściągnąwszy nożyce, co w ukryciu tkwiły,
Jęła ścinać mu włosy, źródło jego siły.
Skończyła. Na znak dany wpadają wrogowie,
Już go wokół otacza chciwe zemsty mrowie.
Prowadzą go na sznurze z gwizdem, wrzaskiem, piskiem.
Tak ten, co był postrachem, stał się pośmiewiskiem.

Lecz Samson, choć z pozoru był jak zgasty krater,
Nie stracił hartu ducha, zginął jak bohater.

Ucieczka Lota

O groźącym nalocie na czas ostrzeżony
Opuścił Lot Sodomę w towarzystwie żony.
Wszyscy wiedzą jak potem z winy słabej woli
Lotowa zamieniona została w słup soli.

Gdy Lot na miejscu żony zobaczył słup biały,
Przystanął i przez chwilę patrzył ostupiały.
Potem podszedł, pomacał, polizał ostrożnie,
Posmakował. "Sól" — wyrzekł i westchnął pobożnie:

"Szkoła, Panie, żeś żony Twego sługi Lota
Miał w słup soli nie zmienił w mały słupek złota".

Pochwała grzechu

Kiedy po znanym grzechu
Ewy i Adama
Zamknęła się za nimi
Mściwie raju brama
I pošli, by wieść żywot
Zwykły, ludzki, znojący,
Pozostał im na ustach
Smak dziwnie upojny,
A w oczach przerażonych
Ów obraz czerwieni,
Co zmysły, jak bicz smagał
I wspomnienie podobne
Do jęczącej rany
Owocu, co ich skusił,
Bo był zakazany.

Grzech popełniony w raju
Przez parę pierwszych ludzi
Rozmnożył się na ziemi,
Kusi, uwodzi i łudzi.

Lecz cóż?
Bez grzechu mniej byłoby
Do życia ochoty.

I co więcej?

Gdyby nie było grzechu
Nie było by cnoty.

Fr. G.

Notatki z São Paulo

Z NOWYM PREZESEM KLUBU 44
W CZTERY OCZY

Inż. Janusza Niklewskiego znam od dawna
i nieraz miałem z nim sposobność rozmawiać
ale po raz pierwszy spotykamy się w
charakterze oficjalnym po wyborze p. Janusza
przewodniczącym Klubu 44.

Na szczerzej i otwartej twarzy inż. Niklewskiego
pojawia się uśmiech, kiedy wieszczę mu
zaszczytu, który go spotkał.

— Niech pan nie żartuje — powiada. —
Ze stanowiskiem, które objąłem, związana
jest moc poważnych obowiązków. Ludzie od
takich zaszczytów uciekają... Dla mnie to
zresztą nie pierwszyna. Przez dwie kadencje
byłem wiceprezesa Klubu.

— Jak pan wyobraża sobie rolę Klubu 44
w życiu Polonii paulistańskiej? — pytam.

— Klub 44 zrzesza, jak wiadomo, inteligencję
polonijską. Dlatego jego rola jest i
powinna być odmienna od roli innych stowarzyszeń
polskich w Brazylii, ograniczających się do
prowadzenia działalności towarzyskiej,
pielegnowania tradycji narodowych i
podtrzymywania łączności z kulturą polską.
Nasze stowarzyszenie ma ambicję ośrodka
twórczego pod względem kulturalnym. Czy
nam się to udawało? Robiliśmy na co nas
było stać.

— Rozumiem z tego, że Klub 44 pod pańskim
kierownictwem będzie kontynuować wysiłki,
podjęte przez poprzedni zarząd, mający na
celu rozszerzenie frontu kulturalnego w
działalności Klubu.

— Tak jest. Chcemy podtrzymać to co zostało
rozpoczęte przez poprzedni zarząd i nadać
poważny charakter organizowanym

imprezom, oczywiście, w miarę naszych
skromnych możliwości. Sądziły jednak, że
lepiej urządzić rzadziej poszczególnie imprezy,
ale za to, aby to były imprezy naprawdę na
wysokim poziomie. Mogę również poinformować,
że mam zamiar utworzyć przy Klubie ośrodek
dyskusyjny, którego uczestnicy mogli by w
swobodnej wymianie zdań poruszać różnorodne
zagadnienia natury gospodarczej, naukowej i
artystycznej. Bardzo nam wreszcie zależy na
przyciągnięciu do Klubu młodzieży. Średnia wiek
w naszym Klubie jest za wysoka — brakuje w
nim tego życia, które mogła by wnieść młodość
z jej entuzjazmem i świeżym podejściem do
wielu spraw.

Na zakończenie pragnę zaznaczyć, że Klub 44
znany jest na całym świecie; z prawdziwym
zainteresowaniem dowiadywano się w czasie
mojego pobytu w Europie, czy to w Paryżu,
czy w Londynie, o tym, co słychać w Klubie i
jak się rozwija jego działalność. To nas zobowiązuje.

(sh).

NOWA SIEDZIBA KLUBU 44

Już od przeszło roku Klub 44 czyni starania
o uzyskanie własnej siedziby. Siedziba ta nie może
się znajdować daleko od śródmieścia, ponieważ
większość członków Klubu nie ma własnych
samochodów. Komplikuje to nieco zagadnienie,
ponieważ tereny blisko śródmieścia są drogie.
Jak kalkuluje Zarząd Klubu na zakup nowej
siedziby potrzebna będzie kwota rzędu 15
milionów kruczejrów. Na zebraniu Zarządu,
odbyłym niedawno,

wysunięto projekt ustalenia 600 udziałów po
25.000 Cr. Członkowie Klubu będą obowiązani
zgodnie z tym projektem do nabycia co najmniej
jednego udziału. Pierwsza wpłata ma wynieść
7.500 Cr. Reszta należności zostanie rozłożona
na 35 rat po 500 Cr. miesięcznie. Zwolnieni od
nabycia udziałów będą ci członkowie, których
położenie materialne na to nie pozwala.

Propozycja Zarządu przedstawiona zostanie na
walnym nadzwyczajnym zebraniu, zwołanym na
29 sierpnia br. przy czym uchwała, jako
wprowadzająca zmiany statutowe, wymagać będzie
obecności na zebraniu 2/3 ogólnej ilości
członków Klubu.

KONCERT MIECZYSLAWA FOGGA

Dnia 17 sierpnia br. w salonach Klubu 44
odbędzie się koncert Mieczysława Fogga. Zainteresowanie
koncertem jest olbrzymie. W końcu lipca
większość biletów została już wykupiona.

WIECZÓR FILMOWY

Wieczór filmowy, który odbył się w salonach
Klubu 44 dnia 8 czerwca br. na długo pozostanie
w pamięci widzów.

Wyświetlone zostały cztery filmy dokumentarne
wypożyczone klubowi przez znanego architekta
paulistańskiego Maurizio Mazzocchi. Były to
filmy kolorowe o malarstwie starożytnego Rzymu i
epoki Odrodzenia. Na zakończenie wyświetlono
filmy o wybrzeżu brazylijskim ze szczególnym
uwzględnieniem najpiękniejszych zakątków takich
jak: Ilha Bela i Guarujá.

BAJKI OPOWIADA SIĘ W NOCY...

(La nuit est conteuse...)

Tytuł brzmi pretensjonalnie, wyszukanie. Obawiam się, że w nie jednej subtelnej wyobraźni może wywołać złudną wizję buduaru w atlasach i koronkach, dyskretnie pachnących tuberozą, na tle romantycznej nocy z jej odwieczną tajemnicą "ars amandi".

A tymczasem historia zaczyna się wręcz trywialnie — od kuchni i związanego z nią problemu, któremu już broda poświęcała: pomocnica domowa.

Od pewnego czasu zdarza się, że mam ich aż trzy naraz: odchodzącą, przychodzącą i dochodzącą. Te ostatnie wprawdzie na "dniówki" — do prasowania i ogólnego "hauspuu". Wygląda na to, że prowadzę feudalne gospodarstwo, w rzeczywistości dom mój jest nad wyraz skromny, choć dostatni, a nie rzadko muszę tyrać sama ponad siły, gdy żadna z owych trzech gracji nie raczy się zjawić. Dzieje się tak w poniedziałki, poniedziałki i dni poświęcone, a ostatnio zdarzyło mi się nawet w jakieś "ponto facultativo".

Moja nowa prasowaczka jest Murzynką czarną, jak telefon. To bogactwo pigmentu ciekawie kontrastuje ze śnieżną bielą jej wspaniałych, końskich zębów, z trudem mieszczących się w zgola nie wąskich ustach.

Wysoka, potężna, zawsze czysto i starannie ubrana, choć zbyt jaskrawo, z godnością nosi przed sobą czerwoną parasolkę i czarną lakierowaną torbę wypchaną dokumentami, jeszcze więcej waloryzującymi jej czcigodną osobę. Okulary w złotej oprawie osadzone na szerokim nosie, zdradzającym sudańską praojczyznę, powiększają i tak już wypłaskate, mądrze patrzące oczy. Jest analfabatką, ale wysławia się poprawnie i rozumie konsekwentnie, szczególnie, gdy głośno politykuje przez murek na podwórzu z kucharkami sąsiadów. Przypomina wtedy osławioną hiszpańską "la Passionaria" — tyle, że na czarno. Myślę, że jej imponująca postać nie raziliaby u boku murzyńskiego męża stanu jednej ze świeżo upieczonych republik afrykańskich.

Gdy ją ujrzałam po raz pierwszy wydała mi się młoda, ale nie mogłam zorientować się dokładnie w przeżytych przez nią wiosnach. Dwadzieścia czy? Trzydzieści cztery? Z Murzynkami nigdy nie wiadomo. Przeważnie nie mają zmarszczek.

Zdumiałam kiedy mi powiedziała, że — czterdzieści i cztery. Jeszcze większą niespodzianką była wiadomość, że miała jedenaścioro dzieci, z których niestety żyje tylko pół tuzina. A już po pozostałych rewelacjach z jej życia — poszukałam krzeselka. Otóż między innymi dowiedziałam się, że jeden z synów, imieniem Izrael, zostanie w tym roku wyświęcony na księdza katolickiego, drugi, Samuel, z wyznania baptysta wstąpił na wydział teologii ewangelickiej i będzie pastorem, córki zaś, jedna zamężna, dwie jeszcze w gimnazjum należą do kongregacji świadków Jehowy. Ona sama jest spirytystką i to niezwykle czynną jako medium. Jeżeli bardzo się wysili, może spowodować wibracje, unoszące pokrywki z garnków. Zna również *uma prece brava*, modlitwę o złej mocy, która rozdziela na zawsze dwoje kochających się narzeczonych, usadza zawistnych sąsiadów i ususza skradzione z jej ogródka sadzonki.

Mówiąc, miała zły błysk w oczach; zaczęłam się jej bać. Należało zboczyć z tematu, na który zesła. Zapytałam ją o imię.

— Laura — odpowiedziała.

Brzmiało kojąco, przypominało ukochaną Petrarkę. Niestety trudno mi było dopatrzeć się jakiegokolwiek podobieństwa między oboma Laurami. Chyba ilość dzieci...

— Dona Laura, a co z szóstym dzieckiem? — przypomniałam sobie.

Wymieniła ich tylko pięciorgo.

Pochyliła głowę, jak pod brzmieniem wielkiej troski. Okazało się, że najstarszy syn nie udał się. Jedyny, który nie jest *intelektual*. Nic nie skończył, jest pomocnikiem fryzjera w interiorze, ożenił się z Indianką ze szczepu Bugre, lubi pingę i gra w *bicho*.

— A tyle w nim pokładałam nadziei — westchnęła — takie mu dałam piękne imię wielkiego świętego, by się nim opiekował...

— Jakie, dona Laura?

— Moisés... zaszlochała — myślałam, że wyrośnie z niego wielki człowiek, a tymczasem poszedł nie w patrona a... w ojca. Mężowi też było Mojżesz, bo był z Sergipe — *Cabeça chata* — dorzuciła z pogardą, klepnawszy się otwartą dłońią po głowie.

Usiadła i rozplakała się na dobre. Moje współczucie łagodził stos nieprasowanej bielizny, wielki, jak sam kopiec Kościuszki. Odetchnęłam z ulgą, gdy medium zgadło moje myśli.

— Czas popracować — powiedziała wreszcie.

Niestety, przechodząc przez kuchnię zatrzymała się nagle.

— Pani długo tu nie pomieszka, widzę mrówki w zlewie. Dla pani lepiej, bo w tym domu czuje ducha pokutującego. Mogłabym go wystraszyć wywarem z liści tytoniu, ruty i *guiné*, ale wykadzić go na zawsze nie podejmuję się. Już zapuścił korzenie — *já criou raizes* — powiedziała. Lepiej się wyprowadzić, bo może zaatakować wątrobę.

Przyjrzała mi się badawczo: już zaatakował, *pronto*.

Tak triumfująco mógł tylko Archimedes wykrzyknąć w wannie swojej: Eureka!

Zadrżałam, jak osika i byłabym napewno zemdlała, gdyby nie podtrzymała mnie na duchu pewna niska, szatańska myśl. Ot, wykorzystać nachodzące dochodzącą tajemne moce i Kondrackiej, która mnie obszczekuje spuścić porządne *spirytualne* manto. Zatarłam ręce. Ale już po chwili zrezygnowałam z tego planu. Nie, takie nikczemne sprawy powracają bumerangiem; czytałam gdzieś o tym. W gruncie rzeczy bardzo Kondracką lubię...

— Dona Laura — podjęłam walkę z pokusą — zastanowiłam się nad przyjęciem pani. *Acho que não daria certo...* zauważyłam nieśmiało. Kobieta spojrzała na mnie zdziwiona.

— Pani się zlekła mojego gadania, *coitada!* Ale niepotrzebnie — zarżała wesoło — za panią stoi dobry protektor. To duch szlachetnego blondyna o niebieskich oczach, którym pani za młodu wzgardziła. Umarł wkrótce potem na suchoty — dodała, nachyliwszy się dyskretnie do mojego ucha, jak by chodziło nie o opiewaną słabość piersiową poetów, ale o brzydką chorobę skórą i obskurą.

Czas cofnął się przez chwilę o trzydzieści lat... Chwyciłam się za głowę. Czyżby — Niunio Podrygalski? Błąd był biedak... do Zakopanego często jeździł.

Zrobiło mi się gorąco.

— A te wypieki pani — to cukrzyca. Na to tylko liście *pariparoby*, *jucá*, *uva do ma-*

to, pata de vaca. Na północy wszyscy są tak leczeni. Lekarze nie zarobią od nas jednego *testão*. Nie ma głupich. W moich stronach "głupi rodzi się nieżywy" — poparła starym przysłowiem z Bahii.

— Z mojej ziemi Rui Barbosa, Castro Alves, Lampião, Dorival Caymmi, Marta Rocha — wymieniała kilkoro ze swych rodaków mądrych i sprytnych.

— Słyszałam o nich, słyszałam. A Laura z jakich stron?

Skrzywiła się z lekka.

— Urodziłam się w nieważnej miejscinie, daleko od świata, na samym zadku Judasza.

— Tak się nazywa to miasteczko?

— Nie, to przysłowie. Miasteczko nazywa się Iambupiracajumirim.

— Jaaaak?

— Iambupiracajumirim — powtórzyła akcentując tak pierwsze, jak i ostatnie i.

Zmęczyłam się od samego słuchania.

— Co z bielizną, Lauro?

— Już się biorę za nią, już — tylko chciałabym uprzedzić panią, że prasując lubię jeszcze coś przy tym robić. Przeważnie śpię albo mówię na głos wiersze z mojej ziemi. Czasami płaczę.

— W moim domu nikt nie potrzebuje płakać, — zachnęłam się — a co do wierszy, to mi nie przeszkadza, nawet bardzo lubię. Może Laura opowie jakąś ciekawą historię, czy legendę. Spiszę ją i oddam do druku.

Chętnie zgodziła się, ale tylko wieczorem

— *Quem conta histórias de dia, cria rabo* — powiedziała.

Czym prędzej wymknęłam się z kuchni. W nocy przysniła mi się moja babcia. Spod jej spódnicy wyzierał długi, puszysty ogon...

— ★ —

Moja ukochana babcia (po kądzieli) nie była Murzynką, ni analfabatką, ni prasowaczką. We wszystkich tych trzech wypadkach — wręcz przeciwnie. Za tym, że była nie głupia i ocytana — (szczególnie umiowała sobie Balzaka, Maupassant'a, kiedyś pod jej poduszką znalazłam Boccaccia) przemawia fakt, że tylko raz owdowiawszy, trzykrotnie zmieniała ślubnych mężów: Włocha, Austriaka i Słoweńca. A jednak, gdy ją kiedyś po śniadaniu poprosiłam, by opowiedziała jedną z tych starych, przejmujących legend, w które tak bogata jest ziemia Krasu z jej kamiennym ugiem i sławnymi w całym świecie grotami stalaktytów — odpowiedziała z czarującym uśmiechem w swoim języku, który jest zarazem językiem świerszczy, jak wyraził się o nim Jan Parandowski:

— *Nikoli podnevi, srcece*. — (Nigdy w dzień serduszko).

W któreś urodziny dostałam od mojego ukochanego dziadka (po mieczu) gruby tom bajek Grimma w oryginale. W przedmowie zaznaczono, że należy je czytać wieczorem, przy kominku.

W szkole czytaliśmy wyjątki z francuskich bajek Emile Souvestre'a: Foyr Breton. Z tych czasów pamiętam prześliczny obraz Grottera, przedstawiający puciołowane dzieciaki, słuchające z wypiekami na twarzy bajek dziadzi w czerwonym blasku kominka.

W Londynie w jednej z prastarych księgarni wpadły mi do ręki "The Fireside Stories of Ireland", napisane blisko sto lat temu przez niejakiego Patrick Kennedy.

Czyżby praprusia obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych?

I tam była mowa o tym, że bajki należy opowiadać tylko wieczorem czy w nocy, przy kominku, bo opowiadanie ich za dnia ściąga nieszczęście.

Jedne z najczarowniejszych bajek świata, to bajki "z tysiąca i jednej nocy" nie dni. Muzułmanie wierzą, że opowiadanie ich w dzień karane bywa długim, złośliwym... so-literem.

Północno-amerykański Uncle Rabbit, postać z lektury dzieci i młodzieży opowiada bajki o żółwiu i króliku — tylko wieczorem i nocą.

(Dokończenie na str. 21)

Kasjer Henryk Paluszkiewicz otarł wierzchem dłoni spoczone czoło i wyjrzał przez okienko. W poczekalni siedział tylko goniec, wyrostek lat szesnastu, o szerokiej twarzy i jasnym, wylupianym oczach.

— Chodź - no! — zawołał Paluszkiewicz.

Chłopiec poruszył się leniwie.

— Znowu spałeś, szelmo? Całe życie przepisz. Masz tu, pieniądze i ruszaj po piwo, ale zimne, rozumiesz? zimne. I nie zawiesz się zaraz na pół dnia.

Chłopiec otworzył usta jakby chciał coś powiedzieć ale nie śmiał.

— Wyglądasz jak sum wyciągnięty z wody z tymi swoimi wylupianymi gałami i rozdzianą gębą — zauważył Paluszkiewicz. Licho niech cię weźmie, prawdziwy sum. A możesz ty rybak, co?

— Ja się przy rybach chowałem — potwierdził skwapliwie chłopiec i rozpromienił się. — Jak ojciec umarł — stryjo Wawrzyniec wzięli mnie do siebie, a stryjo rybaczy.

— A toś ty taki! — mruknął Paluszkiewicz. — Patrzcie - no! To ci pewnie tęskno za wodą?

— I jak jeszcze! — powiedział chłopiec. Widać było, że chętnie by jeszcze o tym pogadał, ale Paluszkiewicz stracił nagle ochotę do dalszej rozmowy.

— No, idź już po to piwo.

Chłopiec zabrał butelkę i wyszedł na ulicę. Owionęło go rozgrzane powietrze jakby w piec wlało. Słońce piekło jak przed burzą, a po niebie żeglowały ciemne obłoki. Czasem zerwał się wiatr, zakręcił kurzem na jezdni i zatargał konarami suchotniczego wiatru, rosnącego przed gmachem urzędu.

— Dobrze teraz nad rzeką — medytował chłopiec.

Zdawało mu się, że czuje zapach zgniłych wodorostów i podmokłych łąk. Nad wodą unoszą się wałki, a woda ciepła... Piasek wlał między palce od nóg. Prąd łagodnie opływa ciało. Na zakręcie, gdzie brzeg jest wyższy, stoi krypa stryja Wawrzyńca. Stryj zabiera się do stawiania sieci. — Antoś, a potrzymaj no z jednego końca.

— Kto tam pomaga stryjowi rybaczyć — pomyślał chłopiec i naraz tak mu się zrobiło cicho, że rzuciłby "w try miga" służbę i pognął na wieś. Gdyby mógł się komuś zwierzyć byłoby mu łatwiej. Ale w ciągu dwutygodniowego pobytu w mieście nie zdażył jeszcze zawrzeć żadnej znajomości. Spostrzegł, że ludzie mają tu twarde serca i są dla cudzych obojętni.

— No, myślałem już, żeś przepadł — powiedział Paluszkiewicz. — Po śmierć cię posyłać. Dawaj piwo!

Chłopiec usiadł w swoim kącie. Przymusowa bezczynność męczyła go, oczy mu się zaraz zaczynały kleić.

Znowu był na wsi. Szedł po zielonej łące, pasikoniki wyskakiwały spod nóg, w dali na mokradłach beczał bąk.

Szedł i szedł...

Tu było Maciejowe pole i zagaj.

Na Maciejowym polu, w zagaju, złapał zając. W kapotę. Niósł go ostrożnie do chałupy, a zającem wyrwał się, tylko, że Antoś trzymał mocno, nie dał uciec.

Ale to był sen, nie więcej.

Na przeciw szara ściana z niebieskim szlaczkiem, o tynku gdzieindziej poobijanym. W jednym jej miejscu samotny hak. Ktoś go kiedyś wbił z niewiadomej przyczyny.

Dalej okienko i łysa czaszka Paluszkiewicza.

Paluszkiewicz nucił półgłosem polkę nie polkę, oberka nie oberka, licho wie co, muhy brzęczały — wszystko to razem wytwarzało senny nastrój.

Much było pod dostatkiem. Uwijały się dokoła żyrandola, harcowały w pobliżu okna, ale najwięcej ich było nad stołem Paluszkiewicza, na którym stała niedopita szklanka herbaty i leżał arkusz zatłuszczonego papieru z ogryzkami kiełbasy. Czasem,

kiedy już bardzo dokuczyły, Paluszkiewicz chwycił kilka, gniótł w dłoni, na pół omdlałe rzucał na podłogę i szybko rozgniatał obcasem z sadystyczną rozkoszą. Potem wracał do podliczania kasy. Ale robota szła niesporo. Upał, muchy, a wreszcie niedobry sen, który śnił mu się nad ranem, nie pozwalały pracować spokojnie. Widział we śnie zmarłego kolegę Grabarę. Grabara wychudły i zielony, przed samym nosem Paluszkiewicza machał kościstym palcem, jakby go chciał przed czymś ostrzec.

— Co by to mogło znaczyć? — kombinował Paluszkiewicz i czuł się coraz bardziej nieswojo.

Wierzył w sny, zwłaszcza w złe.

— Przyplączę się jakieś zmartwienie, ani mowy.

Wypił resztę piwa i zapatrzył się tępo w okno.

Po ulicy toczył się chłopski wóz, zaprzężony w chudego konia, a na wozie leżał wieprz.

Paluszkiewiczowi ukazał się obraz góry kiełbas i boczku. Zobaczył też piekący się na patelni, przedziwnie woniejący, kotlet wieprzowy.

Dobrze byłoby zjeść na obiad taki kotlet z kapustą i kartoflami, nie zanadto tłusty, i do tego wypić bombę zimnego piwa. A po obiedzie kropnąć się spać na godzinkę.

I już był w restauracji Kuncego na Końskim Targu, siadał tyłem do upiększonego sztuczną palmą szynkasu, a frontem do bilardu o wydartym przez niecierpliwych graczy suknie.

— Czy ta golonka świeża, panie Fabisiak? — mówił, pilnie studiując kartę.

KACZKA

OPOWIADANIE BANALNE.

— Co też pan, panie radco, — oburzał się Fabisiak — świeża, świeżutka! — i odwróciwszy się wycierał ukradkiem w serwetkę wiecznie wilgotne wąsy.

Z restauracji dwa kroki do domu. Pani Piszczakowa, u której odnajmował pokój, otwierała drzwi, skrzypiące na zardzewiałych zawiasach, z kuchni zalały ją woń prostego jadła, Piszczakowa wstydliwie zakrywała grube uda połam brudnego szlafroka.

— Bo pan Paluszkiewicz to zawsze przyjdzie jak jestem nieubrana.

Mąż Piszczakowej był maszynistą na kolei, a pani Piszczakowa ukończyła pensję i uważała się za wykończoną spowodu małżeństwa z panem Piszczakiem. Czterech jej synów sprzątało, gotowało i prało, a sama pani Piszczakowa wyłgiwała się na rozgrzbanym łóżku i czytała powieści.

Paluszkiewicz przesuwiał się bokiem i szedł przedko do swojego pokoju, gdyż kobieta może wskutek częstej nieobecności męża, może zaś wskutek przeczytanych powieści była romansowna.

W pokoju unosił się zapach stęchlizny i dymu z papierosów. Stała tam otomana z wylazłym włosiem, na której Paluszkiewicz zwykł się kłaść po obiedzie. Brał do ręki książkę, podrzucał ją przez Piszczakową, otwierał na którejś tam stronie, i ziewając czytał kilka wierszy. Jeżeli natrafiał na miłosną scenę, mawiał:

— Jakie to świnstwa wypisują, doprawdy!

Czasem jednak rozgrzewała mu się wyobraźnia i wtedy nakładał odświętną marynarkę i wybierał się na drugi koniec miasta do otoczonego dzikim bzem drewnianego domku, w którym królowała otyła osoba w sukni, odsłaniającej kolana. Osoba miała blond włosy, uczesane w koronę i sklep spożywczy.

— Może jeszcze jednego, panie Hendryczku — mówiła i stuknęła się z Paluszkiewiczem "większym" z wiśniówką.

Paluszkiewicz patrzył pożądliwie na obfite kształty, zalatujące potem i pudrem, i mocował się ze swym męskim postanowieniem: oświadczyć się, czy nie oświadczyć.

Elegancko, w dwóch palcach, podnosił kieliszek do ust i mówił:

— Zdrowie panny Helenki!

Zawsze kubek w kubek to samo.

— Może by jednak... — rozważał — Raz kozie śmierć!

Ale nie starczyło odwagi.

I teraz, wspomniawszy to wszystko, westchnął i spojrział w okno.

Szła baba w kraciastej chustce, biegł pies. Wiatr, jak dobry pasterz, poganiał kłęby pyłu.

Naraz ściemniło się, jaskrawa błyskawica przeszła niebo i gruchnął grom. Upadło kilka kropli deszczu, zapachniało wilgocią i końskim nawozem.

— Antoś, zamknij okno! — zawołał Paluszkiewicz.

Ale chłopca nie było w poczekalni. Stał w sieni w otwartych drzwiach. Deszcz siekł go po głowie i spływał po twarzy jak łzy.

Nie widział ulicy. Widział: lśniące od deszczu grzbiety krów, i pastuszków, przykucniętych na miedzy, z workami na głowach, i stryjną Małgorzatę, stawiającą spieszenie święty obrazek w oknie — od pioruna.

Gospodarskim okiem szacował deszcz.

— Żyta będą ładne. Żeby tylko mocno nie padało, bo przybił.

... tuż, tuż rośnie stryjowy łąn. Wykłoszone zboże chwieje się, układa w fale.

— Żeby tylko nie przybiło.

Paluszkiewicz pokręcił się trochę po pokoju, powiedział: — Duszno, psiarew! — i usiadł przy biurku, ale do roboty się nie zabierał.

Niebo było całe w ogniu, woda toczyła się z łoskotem z dachu i dudniła głucho w rynnie. Ale ponad te odgłosy i ponad huk gromów wybiła się cieniutkie, zawodzące bzykanie schwytej przez pajaka muchy.

Burza mijała. Gromy oddalały się. Krople deszczu, trafiając w kałuże, tworzyły na nich przezroczyście bąble. Chmury, białe jak gęsi, przebiegały niebo.

Rynsztokami waliła mętna woda, niosąc na swej powierzchni liście, kawały brudnego papieru i jakieś nieokreślonego rodzaju nieczystości. Jednym z rynsztoków szła kaczka. Przewalała się z boku na bok, tłusta, ciężka. Nagle zatrzymała się i okrągłymi jak paciorki oczami spojrzała na Paluszkiewicza.

Paluszkiewicz też się na nią zagapił.

— Czyja to może być kaczka — powiedział — i dokąd ona idzie?

Sebastian Arhens

BAJKI OPOWIADA SIĘ W NOCY...

(Dokończenie ze strony 20)

Moja nowa prasowaczka jest blondynką w kolorach, ma na imię Ofelia. Niewielka, drobna, potulna, mówi mało i niejasno. Za to wyraźnie wymawia literę l, jak to robił Getulio Vargas. Jest z południa Brazylii. Urodziła się koło granicy paragwajskiej — "gdzie diabeł zgubił swe ponczo". Obiecała, że mi opowie legendę o mulicy bez ła, ale wieczorem...

— Już wiem, już wiem — powiedziałam — quem conta histórias de dia cria rabo... — de cotia — dośpiewało dziewczę.

A więc mają rację Francuzi, mówiąc, że "la nuit est conteuse"...

Mira Lampe-Stawińska.

STRONICA PARAŃSKA

DOKĄD DĄŻYMY?

Wyjątki z referatu wygłoszonego na posiedzeniu Komisji Literackiej dnia 23 lipca 1961 roku.

Jestem przekonany, że w obecnych czasach powinniśmy przede wszystkim myśleć o dniu dzisiejszym i jutrzejszym. Dzień dzisiejszy przedstawia się nie najlepiej. Życie społeczne, poza niewielkimi wyjątkami, leży jeszcze odległym. Stan ten powstał na skutek zubożenia społeczeństwa polonijnego do problemów dnia dzisiejszego.

My, wciąż jeszcze żyjemy przeszłością, stale uciekamy do wspomnień, chcemy tę przeszłość zatrzymać za wszelką cenę i na niej budować rzeczy trwałe, podczas gdy codzienna surowa rzeczywistość mówi nam zupełnie co innego. Rzeczywistość ta mówi nam, że przyszłość należy do generacji, która na naszych oczach dorasta, pod naszym bokiem się kształtuje i przygotowuje do nowego życia. Jeśli dotychczas tego nie dostrzegaliśmy, czy też nie szukaliśmy sposobów dogadania się z nią lub znalezienia jakiegoś wspólnego języka, to przede wszystkim jest naszą winą.

Generacja o której mowa, w obecnej chwili wydaje się nam niezrozumiała i, częściowo obca. My zaś przedstawiamy dla nich przeszłość jałową i bezpłodną, z której nie da się już wykręcić żadnej iskry ożywczej, żadnej myśli twórczej. Skończyliśmy się dla nich w sensie wniesienia czegoś nowego, mogącego porwać wszystkich jakąś ideą nową i odważną. Utknęliśmy na progu nacjonalizacji i, ani rusz nie możemy czy też nie umiemy go przekroczyć. To, co niepowrotnie przeminęło, pragniemy zatrzymać i przystosować do obecnych czasów. Po prostu ożenić starczą przeszłość z młodzieńczą teraźniejszością. Jest to tak samo praktyczne, jak np. walka z wiatrakami.

Młoda generacja polonijna w najbliższej przyszłości nada ton swemu życiu i zadecyduje o jego losie — chcemy tego czy nie. W jaki sposób zabierze się do tego i w jakim stopniu potrafi kierować swoimi młodzieńczymi, niedoświadczonymi krokami — to wielka niewiadoma. Naszym głównym zadaniem, powinno być oczywiście, wzięcie czynnego udziału w przygotowaniu jej do oczekujących ją zadań i mądrego pokierowania jej krokami, aby twórcze życie tej generacji było pożyteczne dla niej i społeczeństwa, w którym będzie żyła.

Życie stale idzie naprzód, a my wciąż myślimy kategoriami sprzed dwudziestu pięciu laty. Przed ćwierć wiekiem budowaliśmy tutaj drugą Polskę, jeśli nie dla siebie to dla naszych dzieci. Gmach budowany na niewłaściwych fundamentach okazał się kruchy, runął przy pierwszym podmuchu. Rozsypał się, gdyż nie umieliśmy być przewidujący i nie daliśmy mu odpowiednio solidnych fundamentów mogących wytrzymać o wiele silniejszą nawałnicę niż nacjonalizacja, która trwała zaledwie osiem lat (1938 — 1945), a poczyniła zniszczenia za pół wieku. Podobnych błędów powinniśmy unikać teraz, a przecie zanoszą się na to, że pragniemy je powtarzać.

Musimy być trzeźwi i rozsądni, jeśli pragniemy działać z myślą o naszym potomstwie, które przecież ma jedną tylko ojczyznę, a jest nią Brazylia. Mówienie czegoś innego jest tylko zwykłym i nieprzekonywującym kłamstwem. My, starzy, oczywiście żyjemy

jeszcze i będziemy żyli Polską, jej duchem, kulturą i tym wszystkim czym ona jest — ale dla naszych dzieci, mimo, że będą mówiły jak najpiękniej językiem polskim, Polska pozostanie krajem tylko egzotycznym, jakim na przykład jest dla nas Australia lub Norwegia. W najlepszym wypadku dzieci nasze mogą żywić sympatię, uczucie przyjaźni czy podziwu dla naszej dalekiej ojczyzny. Nic ponadto. Ale i to jest już dużo. I o to właśnie powinno nam chodzić.

Młoda Polonia od nas odeszła. A my — w oparciu o dotychczasowe doświadczenia — zamiast ją wyprzedzić, czy nawet tylko nadążyć, pozostaliśmy daleko w tyle. Proszę tylko popatrzeć na tę młodzież i cokolwiek zastanowić się nad nią. Czy znaleźliśmy dotychczas wspólny język? ... Czy zainteresowania nasze zbiegają się? Czy poglądy na temat wielu zagadnień polonijnych są identyczne? ...

Powtarzam — sami nic nie zdiagnozujemy. Praca przekracza nasze siły i możliwości. Do pracy, którą widzimy przed sobą, potrzebni są także i młodzi. Jak najwięcej młodych. Ale z młodymi, celem wzbudzenia w nich zainteresowania do spraw — według naszego zdania istotnych — należy rozmawiać ich własnym językiem. Młodzież ta — co najmniej w siedemdziesięciu pięciu procentach — myśli już po brazylijsku, posiada mentalność otoczenia, w którym żyje, pracuje, kształci się i zdobywa stanowiska społeczne. Trzeba wyjść tej młodzieży na przeciw i, w zrozumieniu także jej potrzeb i aspiracji, znaleźć z nią jakiś wspólny język, język umożliwiający współpracę i prowadzący — może różnymi drogami do wspólnego celu.

Mamy prasę polonijną w Kurytybie i São Paulo. Niewielką wprawdzie, skromniutką i — dychającą resztkami sił. Niech mi ktoś powie, czy ją młodzi polono-brazylijanie czytają? Nie, nie czytają. Wszyscy o tym wiemy. Stoi im na przeszkodzie brak znajomości języka polskiego.

W tej chwili może wielu z tej młodzieży zainteresowało by się sprawami Polski. Ale skąd będą czerpać te wiadomości? Z prasy brazylijskiej, jeśli do niej nie piszemy ani my, którzy możemy być tym łącznikiem, o którym mówiliśmy, ani ci, którzy są do tego przygotowani ze względu na znajomość języków polskiego i portugalskiego i związania z ziemią na której się urodzili? A może z literatury? Z jakiej, jeśli dotychczas nie uczyniliśmy najmniejszego wysiłku w kierunku przyswojenia czytelnikowi brazylijskiemu arcydzieł literatury polskiej? ...

Nasza Polonia posiada bezwątpienia ludzi zdolnych, utalentowanych, których by należało wykorzystywać z pożytkiem dla naszej sprawy i dla sprawy ich własnej. Tylko zachodzi pytanie, gdzie mają ujawnić swoje zdolności, gdzie wypróbować swoje siły i gdzie zdobyć właściwą orientację, mogącą przynieść pożytek całemu społeczeństwu polonijnemu w Brazylii? Organizacji takiej, która by wykuwała i kształtowała charakter przyszłych działaczy polonijnych, niestety, dotychczas nie posiadamy.

Cóż z tego, że spisujemy nasze dzieje, utrwalimy je na papierze, gdy nasze dzieci odcierają się od nas, od naszej przeszłości, odgrzeją się od tego wszystkiego, co dla nas wydaje się chlubne i piękne — i pójdą sobie własną drogą, zupełnie inną niż tego pragniemy? ...

Jan Krawczyk

Deputowany Lachowski o Polsce i Paranie



Deputowany stanowy Władysław Lachowski jest z wykształcenia inżynierem, a z powołania politykiem.

Już w r. 1941, jeszcze jako student, wziął po raz pierwszy udział w życiu politycznym, a w r. 1950 kandydował do parlamentu stanowego, jednakże bez sukcesu. Wybrany zo-

stał deputowanym dopiero w r. 1958. Jest więc na początku drogi politycznej, ale nie kariery, jak się zastrzega.

— Nie traktuję działalności politycznej — mówi — jako odskoczni do zdobycia zaszczytów i pieniędzy.

Deputowany Lachowski ukończył w roku 1945 Wyższą Szkołę Chemiczną przy Uniwersytecie Parańskim. O r. 1946 zaczął pracować w departamencie wodociągów i kanalizacji przy rządzie stanowym parańskim. Odbiwał, następnie, praktykę w tej dziedzinie w Paragwaju i w Argentynie i ukończył kurs specjalistyczny. W r. 1956 został mianowany zastępcą dyrektora departamentu wodociągów i kanalizacji. Ze stanowiska tego musiał ustąpić po wyborze na posła stanowego, gdyż konstytucja nie pozwala na sprawowanie urzędów publicznych w czasie mandatu poselskiego. W r. 1959 powołany został do rządu parańskiego jako sekretarz stanu robót publicznych i funkcję tę wykonywał do chwili objęcia władzy przez nowoobraną rząd stanowy.

Jako sekretarz stanu odwiedził też w roku 1960 Polskę.

Pytamy deputowanego Lachowskiego o wrażenia z tej podróży.

— Jak panu zapewne wiadomo — mówi inż. Lachowski — urodziłem się w Brazylii i nigdy w Polsce nie byłem. Przyznam się, że po pierwszym zetknięciu z ziemią polską ożnałem milego rozczarowania. Wydawało mi się z opowiadań, że w kraju jest gorzej.

Przed wszystkim kilka słów o poziomie życia. Otóż nie jest on wysoki, ale wyrównany bez ogromnych różnic pomiędzy ludźmi.

Z braku czasu mogłem jedynie odwiedzić Warszawę i Kraków. Odbudowa Warszawy sprawiła na mnie największe wrażenie. Jest to pod względem urbanizacji bardzo nowoczesne miasto — szerokie ulice, ogromne parki, ogródki do zabaw dla dzieci. Nie podobała mi się architektura pierwszego okresu odbudowy, przypominająca najgorsze tradycje XIX w. Pałac Kultury i Nauki to ciężka i ponura budowla. Tylko architektura ostatniego okresu odpowiada moim pojęciom o estetyce, jest przyjemna dla oka, lekka i nie przeładowana ozdobami.

Ludzie w Polsce są pogodni, lubią się bawić; widać chcą odrobić zaległości wojenne. Zarówno mężczyźni jak i kobiety ubierają się dobrze prawie według mody paryskiej. Tylko obuwie jest nieładne, zwłaszcza damskie. Co mi się bardzo podobało w kraju to konie. Takich ślicznych koni nigdzie nie widziałem.

Zwraca uwagę ogromna pobożność. Wszystkie kościoły są pełne. Kiedy jechałem samochodem do Krakowa spostrzegłem koło drogi liczne kapliczki. Przy kapliczkach tych modliło się wielu wiernych.

Wybieram się niezadługo do Europy wraz z dwoma kolegami: João Ribeiro, właścicielem fazend kawowych i jednym z największych producentów rami oraz Lincolnem da Cunha Pereira, dyrektorem dużej fabryki konfekcyjnej. Jedziemy w celach handlowych i m.i. zawadzimy o Polskę. Jestem zdania, że tego rodzaju indywidualne podróże mogą się przyczynić do zdobycia dla Parany nowych i ożywienia starych rynków zbytu.

Rozmowa nasza przechodzi na tematy parańskie. Deputowany Lachowski jest doskonałym znawcą zagadnień gospodarczych swego stanu, wie co trzeba zrobić, aby zapewnić lepszą przyszłość Paranie.

— Czas już najwyższy — powiada — skończyć z monokulturą w rolnictwie parańskim. Sprzedaż kawy na rynkach światowych napotyka na coraz większe przeszkody. W tym roku Parana ma również szansę na zbyt zaledwie części wyprodukowanej kawy. Musimy się jak najszybciej przestawić na inną produkcję. Trzeba powiedzieć, że pod tym względem wiele się już robi. Coraz większe obszary z roku na rok zajmuje uprawa bawełny i kukurydzy, soi i fasoli. Gleba i klimat Parany sprzyja też jak najbardziej uprawie rami. Włókno rami zrobiło ostatnio ogromną karierę, jako jedyna domieszka do włókna syntetycznego. Na plantacjach tej rośliny można przeprowadzać cztero lub pięciokrotny zbiór rocznie, a jeden alkiec daje przeciętnie 60 tys. cr. zysku.

Na północy stanu udają się bardzo dobrze rośliny oleiste takie, jak: orzechy ziemne, tung i mamona. Na wybrzeżu zaczęto już plantować na większą skalę czarny pieprz, a plantacje mięty rozprzestrzeniają się w całym stanie.

Myślę również, że Parana powinna się opierać w większej, niż dotychczas skali na hodowli bydła.

Tyle o rolnictwie. Co do przemysłu to, niestety, jest on słabo rozwinięty w naszym stanie. Wpływają na to dwa czynniki: brak energii elektrycznej i zły stan dróg kołowych.

Parana jest, jak dotąd, Kopeiuszkiem w zakresie energetycznym. Za kilka lat ten stan rzeczy powinien się jednak zmienić. Uruchomiona zostanie wielka elektrownia wodna w Capivari-Cachoeiros o mocy produkcyjnej 200 tys. kw. Radykalna poprawa nastąpi jednak dopiero z chwilą budowy siłowni w Sete Quedas, która według ostrożnych przewidywań specjalistów może dać od 10 do 18 milionów kw. Sprawą elektryfikacji wszystkich stanów południowych na bazie siłowni w dorzeczu Parany i rzeki Para-

guai zajmuje się specjalna komisja między-stanowa pod przewodnictwem gubernatora Carvalho Pinto. Plany siłowni w Sete Quedas są już w opracowaniu i jeżeli zostaną uruchomione odpowiednie kredyty za dwa lata można będzie przystąpić do budowy. Główny przewód wysokiego napięcia tej siłowni ma przejść przez miasta północnej Parany Londrinę i Maringá.

Duże nadzieje wiąże z oddaną ostatnio do eksploatacji nową szosą łączącą Kurytybę z São Paulo (t.zw. BR-2). Sądzę, iż ta autostrada przyczyni się do rozwoju na południu Parany przemysłu pomocniczego dla dużych fabryk w São Paulo.

Chciałbym jeszcze powiedzieć kilka słów

na temat bogactw naturalnych naszego stanu jak dotąd wcale lub słabo eksploatowane.

Mamy tu w Paranie najlepszą w Brazylii rudę żelaza, zawierającą ponad 90 proc. tego pożytecznego metalu; magnetyty Antoniny śmiało mogą konkurować pod względem zawartości żelaza z rudą Uralu. W Rio Branco znajdują się pokłady miedzi, których zaleganie i ilość nie zostały dotychczas dokładnie zbadane. Wiadomo jedynie, iż pokłady te są niezmiernie bogate. Znajduje się też w Paranie w wielkiej obfitości ołów i srebro, wapno nadające się do produkcji doskonałego cementu i glina kaolinowa do wytwarzania kafli.

ROZMAITOŚCI PARAŃSKIE

FESTIWAL FOLKLORU

Na tegorocznym Festiwalu Folkloru, który odbył się w stolicy Parany w dniach od 1 do 8 lipca, Polska Grupa Folkloru, działająca przy stowarzyszeniu União Juventus, zaskarbiła sobie słowa uznania ze strony publiczności i władzy. Zdobyty sukces zawdzięczać należy niestrudzonej i pełnej poświęcenia pracy ks. Józefa Zajaca, kierownika chóru i p. dr. Halinie Marcinkowskiej, kierownicze zespołu tanecznego.

ZJAZD KOMISJI LITERACKIEJ

Dnia 23 lipca odbył się w Kurytybie zjazd t. zw. Komisji Literackiej z udziałem przedstawicieli z Porto Alegre, Joaçaba, Guarapuava, Campo Largo, Araukarii i Kurytyby. Wysłuchano m. in. referatu Jana Krawczyka, w którym poddana została krytycznej ocenie cała dotychczasowa działalność Komisji. Wyjątki z tego referatu podajemy jako artykuł wstępny Stronicy Parańskiej.

Dokonano wyboru nowego zarządu. Kierownikiem Komisji został prof. Zdzisław Zawadzki. Wśród uchwał zasługuje na uwagę przeniesienie Komisji jako sekcji kulturalnej z Komitetu Tysiąclecia Państwa Polskiego do Towarzystwa im. Tadeusza Kościuszki w Kurytybie.

BITWA O ZIEMNIAKI

W niemałym kłopotcie znalazła się S.A. Polparaná, kiedy skutek wielkiego urodzaju ziemniaków i spadku cen na te ziemnioplody nie udało się jej sprzedać na rynku parańskim dużej partii sadzeniaków, sprowadzonych z Polski. W obliczu nieuniknionych strat, które były by związane z przetrzymaniem w magazynach i zepsuciem się w konsekwencji tych sadzeniaków, postanowiono mimo spóźnionej pory wysadzić je na czterech hektarach gruntu w majątku Gajero-wo koło Araukarii.



Aparat do zadymiania marki "Swing-Fog".

historii Parany puszczone obłoki sztucznej mgły na plantacje ziemniaków. Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania — cztery hektary kartofli ocalały, podczas, gdy w sąsiedztwie na terenach gdzie nie stosowano zadymiania kartofle wymarły. Bitwa o ziemniaki została wygrana.

Zamów TYGODNIK AMERYKA-ECHO

AMERYKA ECHO to pismo niezależne, zamieszczające poważne artykuły o sprawie polskiej i o życiu Polonii w Stanach Zjednoczonych.

W AMERYKA ECHO czytelnik znajdzie: korespondencje z całego świata; ciekawy dział dla kobiet, dział rolny dla rolników i ogrodników, omawiający zagadnienia rolnictwa, ogrodnictwa, warzywnictwa i hodowli, informacje i ciekawostki ze świata nauki, poezję, dobrą powieść i humor.

Specjalny dział pogadarek z czytelnikami i kącik dla wszystkich, w którym podawane są artykuły, wspomnienia i uwagi czytelników.

ROCZNA PRENUMERATA AMERYKA - ECHO kosztuje w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie 8.00 dolarów USA, w Ameryce Południowej ze względu na niski kurs miejscowych walut w stosunku do dolara tylko dol. USA 6.50.

Na żądanie wysyłamy bezpłatne egzemplarze okazowe.

Adres redakcji i administracji: 1154 Nebraska Avenue, Toledo 7, Ohio, U. S. A.

CO OPOWIADAŁ LAURINDO VELHO

czyli Parana przed stu laty

PINIÓR

IV

Były też w użyciu, chociaż rzadko, pistolety o lufie rozdętej na kształt lejka. Zwano je bacamarte albo boca de sino. Były to garłacze nabijane siekańcami.

Kiedy capitão do matto nie znajdował się na służbie chodził z piękną laską wykonaną ze szlachetnego gatunku drewna. Stanowiła oznakę jego godności, jakby buławę.

Obraz czasów, o których opowiadam, nie byłby pełny, gdybym nie wspomniał o niewolnikach.

Było ich wielu w São Paulo; w Paranie raczej mało. Na obszarze naszego stanu najwięcej się ich znajdowało w Porto de Cima i w Morretes. Pracowali przy tłuczeniu na mialko w długich korytach herwy i pakowaniu jej w wołowe skóry, zwane surrao.

Zatrudnieni też byli w Antoninie przy ładowaniu i wyładowaniu towarów.

Mniej więcej połowa czeladzi, należącej do troperów i fazenderów, składała się z niewolników. Biedniejsi mieli jednego lub dwóch niewolników i obchodzili się z nimi po ludzku. Najgorzej działo się niewolnikom u wielkich fazenderów, którzy niekiedy pozbawieni byli serca i sumienia. Do takich właśnie należał właściciel fazendy Carros, położonej pomiędzy São Luiz, a Serriinha. Człowiek ten, który dorobił się majątku na handlu bydłem, karał swych niewolników niezwykle surowo za byle jakie przewinienia.

Pewnego razu w przystępie gniewu porąbał niewolnika fojsą i kazał go zakopać u zjazdu z gór Serrinha do Balsa Nova w miejscowości zwanej Bicudo.

Na każdej fazendzie za zabudowaniami znajdował się plac, na którym wznosił się pelourinho (pręgierz). Składał się on z dwóch słupów imburowych, wkopanych w ziemię, wysokości dwóch metrów. W każdym słupie przewiercone były trzy otwory, przez które można było przesunąć sznury lub rzemienie.

Skazanego na karę niewolnika ustawiano pomiędzy słupami i mocno do nich przywiązywano. Bito go, następnie, bitem zwanym bacalhau, zrobionym z podwójnego rzemienia, nabijanego gwoździkami, aż do ukazania się pierwszej krwi. Gdy zaczynał krwawić polewano ciało słoną wodą i odwiązywano od słupów. Dawano mu potem trzy dni odpoczynku, żeby się mógł wyleczyć z ran. Po trzech dniach wracał do pracy.

Trafiali się też obok wyjątkowo bezlitosnych fazenderzy wyjątkowo dobrzy. Jednym z nich był major Cruz.

Posiadał on fazendę zwaną Redondo. Połowa ziemi należącej do tej fazendy znajdowała się koło Poruna wśród stepów, połowa zaś u podnóża gór i była wyjątkowo urodzajna.

Administratorem fazendy był jeden z jego niewolników.

Gdy major Cruz się postarzał nie poznawał swoich niewolników. Zdarzało się często, że kiedy niewolnik unosił kapełusz i pozdrawiał go słowami: "Vasumcê (Vossa mercê) Cristo louvado seja! (Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, jasnie panie!, major odpowiadał: "Sim, Senhor!", a potem pytał: "De quem é você?" (Czy ty jesteś?) "Eu sou de Vasumcê". (Należę do jasnie pana). "Como se chama?" (Jak się nazywasz?)

Niewolnik mówił jak ma na imię, ale major nie wierzył. Brał zaraz książkę i sprawdzał w spisie, czy Murzyn go nie nabrał.

Major Cruz zwykł był odpowiadać na pozdrowienie: "Niech będzie pochwalony" słowami: "Tak, panie". Inni fazenderzy mówili w tym wypadku: "Para sempre" lub: "In aeternum". Zależało to od oglady lub większej pobożności fazendera.

Major Cruz umarł na kilka lat przed wojną paragwajską. W testamencie obdarzył niewolników wolnością, powierzając ich jednocześnie opiece Matki Boskiej — Nossa Senhora Aparecida, czczonej w górach Santa Ana. Po jego śmierci niewolnicy opuścili Redondo i przenieśli się na fazendę pojezuicką, zwaną fazendą dos Porcos. Tam zamiast uprawiać ziemię i siał fizon i kukurydzę czyhali na podróżnych w wozie Matador w górach Santa Ana. Wąwozem tym długim i wąskim biegła droga do Ponta Grossa. Po obu stronach wozu ciągnęła się przepaść. Ponieważ w miejscu tym nie można było ani cofnąć, ani zboczyć z drogi wyzwolenicy zabierali podróżnym muły juczne i obdzierali ich.

Wiść o tych bandyckich poczynaniach doszła wreszcie do uszu władz w Kurytybie. Wysłano oddział policji, który wraz z kapitanami leśnymi z Tamandua, São Luiz i Campo Largo uderzył na Quilombo, rozbił bandę i rozpedził ją na cztery strony świata. Zginęło przy tym kilku czarnych.

Drugim takim dobrym panem dla niewolników był comendador Araujo z Antoniny. Miał on synka niewolnicy imieniem Mariano, którego polubił dla jego inteligencji, posłuszeństwa i ciekawości świata.

Mały Mariano miał szczególny pociąg do zarabiania wentynów przez okazywanie grzecznych usług gościom komendanta. Zarobione wentyny oddawał komendantowi na przechowanie. Gdy podrósł wyprosił sobie u komendanta pozwolenie na sprzedawanie na ulicy w niedzielę i święta oraz w chwili wolnej od pracy — owoców i słodczy.

Komendant nie tylko, że przyzwolił, ale kupił mu jeszcze tacę i koszyk i dał

kilka milów na nabycie towaru. Podobą mu się zdrowa ambicja chłopca.

Ruch w Antoninie w owe czasy był wielki. Roilo się od woźniców przewożących herwę i od gości z Kurytyby. Chłopiec zarabiał codziennie kilkanaście wentynów, a w niedziele i święta kilka milów. Zarobione pieniądze składał u komendanta.

— Pracuj i oszczędzaj! — mawiał nieraz komendant Araujo. — Gdy uciułam kapitalik obdarzę cię wolnością za niewielki pieniądz. Za resztę kupisz fazendę i zostaniesz fazenderem.

Pocziwy komendant nie przypuszczał nawet, że ta przepowiednia może się ziścić. Tymczasem, gdy Mariano stał się dorosłym człowiekiem nie tylko, że sam wykupił się z niewoli ale wykupił też dziewczynę, w której się kochał i z którą się później ożenił.

W pewien czas potem wyjechał do Campo Largo, aby zorientować się jaki ruch panuje w handlu w związku z budową drogi zwanej Mato Grosso. Dowiedział się, że ziemie położone wzdłuż nowego gościńca można nabyć po niskiej cenie. Kupił więc posiadłość w Ferraria, założył wendę i handlując nabywał z wolna tereny. Po niewielu latach stał się panem ziem wzdłuż szosy od Barigui pod Kurytybą, aż po przedmieście Campo Largo. Było tych ziem tyle, że jego dzieci i wnuki, sprzedając stale po kawałku, nie wyżyły się jeszcze wszystkiego.

(Dokończenie w następnym numerze)

NOCNY NAPAD

(Dokończenie ze strony 15)

trów piaszczystej drogi, jakie mi pozostały do niemieckiej osady pokonałem biegiem.

Na ulicy między domami rozłożył się na nocleg woźnica Pleszkiewicz. Przywitałem się, a on pyta, co za strzelanina była w stronie skąd przybyłem. Opowiedziałem o urzędzonej na mnie zasadzce.

Pleszkiewicz zaproponował mi nocleg na wozie.

— Chociaż bierze dobry mróz — powiedział — to nam będzie ciepło. Mam dobrą pierzynę.

Po rozważeniu tej propozycji doszedłem do wniosku, że bandyci ani pomyślą, abym po niespodziance, która mnie spotkała, wychylił się poza kolonję, więc podziękowałem Pleszkiewiczowi i puściłem się w dalszą podróż.

Co paręset metrów przysiadłem i badałem, czy kto mnie nie goni, albo nie zachodzi drogi.

W połowie drogi z Papagaios Novos do Palmeiry rosla spora kępa lasu, Capão Manhoso, przez którą wiał się gościeńiec. Postanowiłem obejść tę kępę.

Kiedy minąłem lasek i przykucnąłem zobaczyłem poza sobą i z boków po paru ludzi, a jedną osobę od strony Palmeiry. Byłem otoczony.

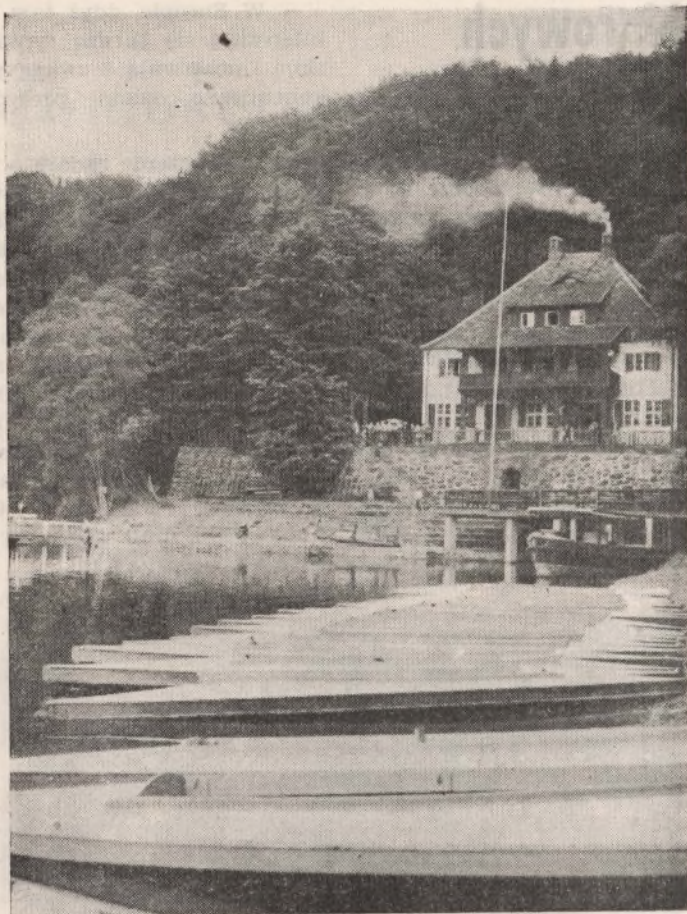
Ścisnąc w garści brauning pobiegłem w kierunku Palmeiry, żeby zmierzyć się z bandytą, który zagradzał mi drogę. Gdy zbliżyłem się na odległość strzału i już, już miałem wypalić, zdało mi się, że jestem w błędzie.

Podkradłem się ostrożnie i przekonałem się, że nie mam przed sobą bandyty, tylko piniorek. Splunąłem, włożyłem brauning do kieszeni i już bez przystanku dobiegłem do domu, zmęczony jak nigdy.

Zimna woda, a następnie sen uspokoiły moje rozklekotane nerwy.

MICHAŁ SEKUŁA

KRONIKA ZIEM ZACHODNICH



Zagórze Śląskie. Miejscowość turystyczna położona w Górach Wałbrzyskich.

50 TYS. PUSZEK KONSERW RYBNYCH DZIENNIE

Tyle właśnie produkowały Zakłady Rybne w Gdyni w ubiegłym roku, — dostarczając handlowi wewnętrznemu i zagranicznemu 15 milionów puszek konserw, a więc 1/3 więcej niż w roku 1959. Warto dodać, że 30 proc. całego polskiego eksportu konserw rybnych pochodzi właśnie z Gdynińskich Zakładów Rybnych. Ponad 1000 ton czyli około 5 mln. puszek konserw rybnych dostarczyła Gdynia do 30 krajów, europejskich i zamorskich.

W najbliższych latach przewiduje się dalszą rozbudowę i modernizację Zakładów Rybnych w Gdyni. Ich potencjał produkcyjny w roku 1965 wynosić będzie 5 tys. ton czyli około 25 mln. puszek konserw rybnych. (ZAP)

"ELWRO" PRODUKUJE MÓZGI ELEKTRONOWE

W lutym 1959 roku zostały uruchomione we Wrocławiu Zakłady Przemysłu Elektronicznego "Elwro", które podjęły produkcję podzespołów telewizyjnych, zaś później elementy mające zastosowanie w automatach przemysłowej. Następnym etapem było podjęcie produkcji podzespołów radiowych, zaś w grudniu ub. r. zakończono fazę montażu pierwszej elektronowej maszyny cyfrowej nazwanej "Odra - 1001".

Ten ostatni fakt należy uznać za duży sukces "Elwro", tym bardziej, że średnia wieku inżynierów w tej najmłodszej fabryce Wrocławia nie przekracza 24 lat.

Gdy mowa o maszynie cyfrowej "Odra-

1001" trzeba wspomnieć, że szereg tego rodzaju maszyn zbudował już Zakład Aparatów Matematycznych Polskiej Akademii Nauk w Warszawie i Instytut Badań Jądrowych w Krakowie. Ale tamte konstrukcje są przeznaczone dla celów naukowych, budowane w pojedynczych egzemplarzach. Zakłady "Elwro" wykorzystali doświadczenia obu tych zakładów, ich jednak zadanie jest inne, mianowicie dostarczyć przemysłowi elektronowych maszyn matematycznych już seryjnie, w najróżniejszych odmianach, stosownie do potrzeb określonych gałęzi przemysłu. Na tej drodze "Odra - 1001" stanowi tylko pierwszy krok, ale krok bardzo istotny.

Jeszcze w tym roku odbędą się narodziny "Odra - 1002", maszyny będącej udoskonalonym i bardziej wszechstronnym typem mózgu elektronowego. Ta młodsza siostra "Odry - 1001" będzie od niej kilkakrotnie sprawniejsza, "mądrzejsza", przydatniejsza w przemyśle. Ona też zapewne wejdzie już do produkcji seryjnej. (ZAP)

ZŁOTO — PO RAZ OSTATNI

Z ostatnim dniem marca 1961 roku kopalnia "Arsen" w Złotym Stoku w woj. wrocławskim kończy swój tysiącletni żywot w związku z wyczerpaniem się zapasów złota. Cenny kruszec uzyskiwano w Złotym Stoku już w X wieku. Wydobywali go wówczas w postaci bryłek i złotego piasku z przepływającego tu potoku, niewolnicy i jeńcy pierwszych Piastów. W minionym roku niewiele już wydobyto tego kruszcu — bez trudu każdy udźwignąłby załadowaną tym złotem wa-

lizkę, które dostarczyła państwu prastara kopalnia "Arsen". (ZAP)

ATRAKCYJA TURYSTYCZNA - SUDETY

Do niedawno panowało mniemanie, że pod względem walorów turystycznych, Zakopane nie ma w Polsce sobie równych. Sąd ten jednak uległ zmianie, rejonowi tatrzańskiemu przybył bowiem poważny konkurent — Sudety. Mniej więcej od dwóch lat w każdym sezonie przyjeżdża tu po kilkaset tysięcy turystów z całego kraju. W zimie i lecie Karpacz i Szklarska Poręba wypełnione są na ogół do ostatniego miejsca. Niewątpliwie magnesem przyciągającym turystów w Sudety, obok wspaniałych krajobrazów i doskonałych terenów narciarskich, jest stała poprawa jakości usług turystycznych, coraz lepsze zaopatrzenie i znacznie niższe ceny niż w Zakopanem.

Sudety posiadają obecnie najgęstszą w kraju sieć schronisk i domów wycieczkowych. Sudety są już dzisiaj popularne prawie na równi z Zakopanem i całym okresem tatrzańskim. Przyjeżdża tu także coraz więcej turystów z zagranicy. (ZAP)

ODKRYCIE STAROPOLSKICH DO- KUMENTÓW NA OPOLSZCZYZNIE

Niedawno nauka polska wzbogaciła się o nowo odkryte, niezwykle cenne, staropolskie dokumenty pochodzące ze wsi Michalice koło Namysłowa, na Opolszczyźnie. Wśród nowo odkrytych materiałów znajdują się kontrakty kupna-sprzedaży, układy małżeńskie, zapisy majątkowe, księgi inwentarzowe i księgi metrykalne. Materiały te obrazują stosunki gospodarcze i społeczne miejscowej ludności polskiej z okolic Namysłowa, a także pewnej liczby ludności napływowej, niemieckiej, na tym samym terenie. Do ważniejszych zabytków należą: pochodzący z X w. dyplom fundacyjny pisany na pergaminie, "Liber fundationis" (z lat od 1599 do 1748), kościelne metryki z parafii Michalice z XVII-go i XVIII-go wieku i kontrakty sprzedaży z XVI do XVIII w. (ZAP)

LEGNICKIE MAUZOLEUM PIASTÓW

Kaplica — mauzoleum Piastów w Legnicy jest jednym z piękniejszych ciekawszych obiektów sztuki na Śląsku. W pięciu niszach spoczywają sarkofagi ostatnich Piastów, niektóre z nich wsparte są na orłach, a wszystkie ornamenty, herby — symbole to misterne metaloryty — dzieła sztuki konwiskarskiej. Wnęki z sarkofagami oddzielone są od środkowej części kaplicy kutymi z żelaza ażurowymi przegrodami, sklepienia wnek zdobią bogate sztukaterie. Między niszami na tle pilastrów stoją piękne posągi książąt wykonane z alabastru. Kopuły i ściany pokryte są freskami ze scenami sławiącymi wielkość i znaczenie rodu Piastów. Na przykościelnej ścianie kaplicy, we wnęce, znajduje się marmurowa tablica z genealogią Piastów od roku 775 — 24 królów polskich, 123 książąt śląskich, szereg biskupów i dostojników. Pogrzeb ostatniego Piasta Jerzego Wilhelma w roku 1675 był w Legnicy wielką manifestacją uczuć polskiej ludności do wygasającej dynastii. Ciekawy ten zabytek ściga rzesze turystów z Polski i z zagranicy. Trwają tam obecnie prace konserwatorskie. (KAD)

(D. c. na str. 26)

PRZEMYSŁ POLSKI W BRAZYLII

W królestwie maszyn biurowych i organizacyjnych

Dyrektora Spółki Akcyjnej Insubra, Henryka Pikielnego, łąpiemy z trudem pomiędzy dwoma konferencjami. Ten miły, jeszcze bardzo młody pan, to jeden z najlepszych fachowców w dziedzinie maszyn biurowych i organizacyjnych. Przedsiębiorstwo, którym kieruje wspólnie z dyrektorem Wernerem Arnholdem, jest czołowym dystrybutorem tych maszyn w Brazylii. Największe fabryki świata, jak: Adler, Astra, Everest, Reinmetall, Duplomat, Roto-Cento-Printo, Safegard, Ormig, Postalia, Diehl i Adrema rozprawiają swe wyroby w całej Brazylii za pośrednictwem S.A. Insubra. Firma nie zajmuje się montażem, sprowadza z zagranicy gotowe maszyny. Aby zrozumieć jak szeroki jest zakres jej działalności trzeba się przejść na ul. Vitória, 302, gdzie znajdują się składy maszyn, części zapasowych i warsztaty mechaniczne. Natomiast na trzech piętrach przy ul. Barão de Itapetininga, 151 znajduje się dyrekcja, wydziały sprzedaży i dział organizacyjny. Możemy tu zapoznać się nie tylko z poszczególnymi maszynami, ale zobaczyć je w ruchu. Specjalni organizatorzy poradzą nam jakie maszyny najlepiej się nadadzą dla naszego przedsiębiorstwa. Dzięki temu unikniemy strat związanych z nieprzystosowaniem poszczególnych urządzeń do istotnych potrzeb przedsiębiorstwa.

Firma rozporządza też mechanikami trenowanymi za granicą u wytwórców maszyn i instruktorami ćwiczącymi mechaników brazylijskich. Ma to olbrzymie znaczenie dla zapewnienia należytej obsługi na wypadek awarii maszyn u użytkowników. Organizatorzy, o których mowa powyżej, spełniają jeszcze jedną ważną funkcję: organizują w sposób racjonalny w okresie początkowym pracę na zakupionych przez klientów maszynach.

Firma posiada trzy wydziały: organizacyjny, obejmujący maszyny organizacyjne; maszyn biurowych t. j. maszyn do pisania i liczenia; i maszyn do reprodukcji. Każdy z tych wydziałów stanowi jakby oddzielne królestwo, ale wszystkie razem łączy jeden cel: usprawnienie pracy biurowej.

S. A. Insubra założona została w roku 1945, a więc 16 lat temu. W ciągu tego okresu zdołała zapoznać się doskonale z potrzebami rynku krajowego, a w ciągu ostatnich trzech lat rozwinęła się ogromnie, będąc dziś największą brazylijską firmą w tej branży, rozporządzającą filiami w Rio de Janeiro, Porto

Alegre, Belo Horizonte, Salvadorze i w Recife, oraz agenturami w pozostałych większych miastach Brazylii.

Pytam p. Pikielnego jak zapatruje się na sprawę importu do Brazylii maszyn biurowych i organizacyjnych w obecnym okresie i czy w świetle przepisów instrukcji nr. 204 i 208 import ten nie napotyka na pewne trudności.

Zdaniem p. Pikielnego nie należy się liczyć z żadnymi zahamowaniami w imporcie. W Brazylii produkowane są jedynie maszyny do liczenia i pisania. Żadne inne maszyny, w szczególności orga-



Pokaz urządzony przez S.A. Insubra. Prezes i dyrektorzy Caixa Econômica de São Paulo na pokazie.

nizacyjne i do reprodukcji, nie są i nie mogą być wytwarzane w kraju, nawet w dość dalekiej przyszłości, gdyż po pierwsze rynek miejscowy jest za mały, aby tego rodzaju produkcja mogła być opłacalna, a po drugie specjalnie w zakresie maszyn organizacyjnych ródkrotnie w krajach wysoko uprzemysłowionych pojawiają się nowości i ulepszenia techniczne, wymagające szeroko rozbudowanych biur studiów i kapitału, na co kraj taki, jak Brazylia, będący dopiero we wstępnej fazie rozbudowy przemysłowej, nie mógłby sobie pozwolić.

— W obecnej chwili — mówi p. Pikielny — maszyny organizacyjne muszą być importowane, gdyż są niezbędne dla rozwoju ekonomiki krajowej. Naszymi największymi klientami są: rząd brazylijski, banki i przemysł.

— Wiem, że był Pan ostatnio za granicą. Czy mógłby Pan powiedzieć naszym czytelnikom jak zapatrują się czynniki gospodarcze krajów, które Pan odwiedził na rozwój stosunków handlowych z Brazylią?

— W Europie, gdyż tam tylko byłem, interesują się bardzo rynkiem brazylijskim i obserwują z uwagą posunięcia ekonomiczne rządu prezydenta Janio Quadros.

Na zakończenie zadaje p. Pikielnemu kilka pytań osobistych. Dowiaduję się, że w Brazylii mieszka 15 lat. W czasie wojny przebywał cztery lata w obozie koncentracyjnym w Niemczech; o tym koszmarnym okresie woli nie wspominać.

P. Pikielny ma dwa hobby. Jednym z nich są jego dzieci — siedmioletnia dziewczynka i czteroletni chłopczyk, których fotografie zdobią ściany jego gabinetu, a drugim — film amatorski.

— Nie filmuję dla celów artystycznych — powiada p. Pikielny. — Ot, po prostu filmy są dla mnie pamiątką z moich podróży turystycznych.

(s a)

Kronika Ziem Zachodnich

(Dokoczenie ze strony 25)

BITWA POD CEDYNIA

Margrabowie brandenburscy obawiali się wzrostu potęgi państwa polskiego, a zwłaszcza dążenia władców Polski — Piastów do opanowania Pomorza Zachodniego. Wyrazem tego była wojna jaką prowadził w roku 967 Mieszko I z grafem Wichmanem. Wojna ta zakończyła się zwycięstwem Polaków. Kolejna wyprawa margrabiego Hodona mająca na celu wyeliminowanie wpływów polskich na Pomorzu Zachodnim nie osiągnęła zamierzonego celu, gdyż wojska Hodona zostały rozbite przez Mieszka i jego brata Czcibora w słynnej bitwie pod Cedynią 24 czerwca 972 roku.

Oto co pisze na ten temat niemiecki kronikarz Thietmar:

„Tymczasem dostojny margrabia Hodo, zebrawszy wojsko napadł z nim na Mieszka, który był wierny cesarzowi i płacił trybut aż po rzekę Wartę... Kiedy w dzień świętego Jana Chrzciciela starli się z Mieszkim, odnieśli zrazu zwycięstwo, lecz potem w miejscowości zwanej Cedynią brat jego Czcibor zadał im klęskę, kładąc trupem wszystkich najlepszych rycerzy”. (ZAP)

Wiadomości z Kraju

REGULACJA WISŁY POD WARSZAWĄ

Warszawa potrzebuje coraz więcej wody. Przedwojenne filtry już nie wystarczają. Buduje się więc podwodne ujęcie na Wiśle, zwane przez warszawiaków popularnie "Wiślaną Kaśką". Woda ujmowana tam będzie spod grubej warstwy piasku z dna Wisły, a więc już w sposób naturalny przefiltrowana. Za dwa lata ponad 200 tysięcy metrów sześciennych wody popłynie stąd do praskich przewodów. A to prawie sześciokrotnie więcej, niż zużyto w całej Warszawie np. w 1937 roku!

Jedna, choć duża "Kaśka" nie zaspokoi zresztą potrzeb stale rozwijającego się miasta. Budować trzeba będzie następne nowe ujęcia.

Budować będzie się też nareszcie i oczyszczalnie ścieków. Bo nasza kochana, szara Wisła już wkrótce łatwo może zmienić kolor. Pierwsza oczyszczalnia w okolicach wsi Pancerz, zbudowana będzie jeszcze w okresie do r. 1965.

W następnej kolejności, po roku 1965, powstanie druga oczyszczalnia, w Czajkach — dla Pragi.

Ujęcia i oczyszczalnie, to mały zaledwie fragment prac związanych z zagospodarowaniem rzeki i porządkowaniem wiślanich spraw. Rozpoczynamy przecież w bieżącym roku realizację wielkiego i na wiele lat rozłożonego planu regulacji Wisły. Na początek wybrano fragment od Sandomierza do Warszawy. Kosztować będzie ta inwestycja sporo — około miliarda złotych. Ale opłaci się sowiec. Co roku bowiem, na tym jednym odcinku, powodzie powodują straty obliczane na 100 i więcej milionów.

A przecież oprócz uniknięcia powodziowych strat regulacja da i inne korzyści. Choćby takie, że więcej towarów przepływać będzie mogło do stolicy taniej, wodną drogą. Może znów pojawią się galary, wyławiane jabłkami, które przed laty przystawały obok mostu Kierbedzia?

Teraz jednak, jeśli nawet jabłka przypłyną galarami do Warszawy, trafią daleko od miasta, hen — na Żerań, do nowoczesnego portu (dziś jeszcze: trochę na wyrost, ale za lat parę — pasującego, jak ułai, do potrzeb wodnego transportu).

Żerański port z jego służą, jak na Nilu koło Assuanu, i kanał między Warszawą a Zegrzem, to

pierwsze jaskółki zwiastujące czym za niewiele lat może stać się uregulowana Wisła.

Najbliższe od Warszawy stopnie, które spiętrzą wody w rejonie Łomnej-Rajszewa, wzniesione będą dopiero po roku 1965. Nim więc można się będzie wybrać nad 40-kilometrowe jezioro, które powstanie o pół godziny jazdy autobusem za Młocinami, wcześniej — chyba już w przyszłym roku można będzie wypłynąć na zalew, powstający pod Dębem przy zaprzęgu Bugo-Narwi.

Stołeczni wodniacy zastanawiają się, jak najwygodniej przedostać się z Wisły na ten nowy, piękny szlak, na jezioro, nad którym plażować będzie mogło kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

KŁOPOTY Z ZAOPATRZENIEM

Jak pisze "Życie Warszawy" ostatnio wzmożyły się znacznie kłopoty zaopatrzeniowe w stolicy.

Najwięcej kłopotów przysparza ciągle kupno mięsa. Nie dlatego, że go w ogóle nie ma. Na ogół zawsze na ladach coś leży. Niestety to coś to prawie z reguły wieprzowina — tłuste szynki i karkówki.

Warszawiacy szukają ostatnio przede wszystkim cielęciny, poza tym zaś wołowiny i ewentualnie schabu.

Tymczasem cieląt skupuje się w tym roku o połowę mniej niż w ubiegłym: w maju np. zakupiono w woj. warszawskim zaledwie 810 ton podczas gdy zmniejszony już w stosunku do ubiegłego roku plan wynosił 981 ton. W kwietniu dostarczono jeszcze mniej.

Drugą słabą stroną zaopatrzenia w ostatnim okresie był nabiał. Niedawno jednak dostawy mleka znacznie się poprawiły. W połowie maja skup mleka zwiększył się na tyle, że można było znowu większe jego partie przeznaczyć na produkcję serów.

CŁO, CŁO, CŁO...

Podajemy za "Życiem Warszawy" wykładnię przepisów celnych w formie zapytań i odpowiedzi Redakcji:

Cło za lekarstwa

Pytanie: Od dawna otrzymuję lekarstwa z zagranicy. Przesyłki te były wolne od cła. Ostatnio jednak kazano mi zapłacić cło. Czy nastąpiła jakaś zmiana w przepisach?

Odpowiedź: Nie, przepisy są od października 1960 roku takie same. Taryfa celną przywózowa ogłoszona jest w Dzienniku Urzędowym nr. 43 z 15 października r. 1960. Pozycja 262 wspomnianej taryfy określa wysokość cła za przesyłki leków gotowych w opakowaniu, przeznaczonych do bezpośredniego użycia. Przesyłka lekarstw, niezależnie od ich wartości, o wadze do 0,5 kg. jest wolna od cła. Za każdy 1 kg. powyżej stawka celną wynosi 500 zł. Cło podlega przesyłce łącznie z wagą bezpośredniego opakowania.

Czy można otworzyć paczkę na pocście przed opłaceniem cła

Pytanie: Czy adresat może otworzyć paczkę otrzymaną z zagranicy na pocście przed opłaceniem cła. Chcę zobaczyć co jest w tej paczce.

Odpowiedź: Rozumiemy ciekawość adresata i sami wielokrotnie toczyliśmy, boje o maksymalną "jawnosć paczki". Jak nasi czytelnicy może pamiętają, przed paru miesiącami zostały ponownie wprowadzone tak zwane kwity celne czyli pełny wypis z odprawy celnej, zawierający dokładny spis zawartości paczki oraz wysokość opłaty celnej przy poszczególnych artykułach. Większa jawność jest technicznie niemożliwa, albowiem paczek dziennie przychodzi 6 - 7 tys. i jest rzeczą oczywistą wykluczoną kontrolowanie zawartości przesyłki przez poszczególnych adresatów. Teoretycznie jest natomiast możliwe zastrzeżenie ze strony obywatela, iż chce on być obecny przy cieniu paczki, którą oczekuje. Piszemy teo-

retycznie dlatego, że wymagałoby to przyjazdu np. z Koszalina do jednego z urzędów celnych (Warszawa czy np. Gdynia), jak również dość daleko idącej precyzji przewidywania. Zresztą istnieje jeszcze jedno udogodnienie, polegające na tym, iż adresat ma prawo po zapoznaniu się z wysokością cła zrezygnować z części zawartości paczki. Przesyłka wtedy idzie do ponownego ocenia, adresat płaci cło tylko od pozostałej reszty, artykuły jednak z których zrezygnował przechodzą na własność państwa. Naturalnie, adresat ma także prawo zrezygnowania, po zapoznaniu się z treścią kwitu celnego, z całej przesyłki i wniesić o zwrot paczki do nadawcy.

WIZY I DEWIZY

Tylko 500 zł.

Pytanie: Mój kuzyn, obywatel angielski, przyjeżdża z Anglii samochodem i prosi, abym mu na granicy w Słubicach wysłał pocztą 1000 zł. na benzynę i najpilniejsze wydatki. Będzie on potem moim gościem. Czy wysyłając mu te pieniądze nie popadnę w kolizję z przepisami dewizowymi. Poczta nie zgłasza sprzeciwu.

Odpowiedź: Poczta może przekazać i milion, ale nie ona decyduje o prawnej stronie imprezy. Pańskiemu gościowi z zagranicy może Pan, bez wpadania w kolizję z przepisami, przekazać jednorazowo tylko 500 zł. co zresztą wystarczy na benzynę. Przekazanie sumy wyższej wymaga już zezwolenia Narodowego Banku Polskiego.



Ks. Kardynał Stefan Wyszyński udziela błogosławieństwa wiernym w czasie tegorocznej uroczystości Bożego Ciała w Warszawie

Wizy i "Orbis"

Pytanie: Jaka jest różnica między wizą turystyczną a zwykłą dla cudzoziemca (Francuz), który chce przyjechać do Polski. Czy przy wizie zwykłej musi on wykupić kupony orbisowskie?

Odpowiedź: Jest pewna różnica, a sprowadza się ona po prostu do czasu trwania procedury. I tak obywatel, w tym wypadku francuski występujący o wizę pobytową w celu odwiedzenia znajomych względnie rodziny na ich zaproszenie składa w konsulacie PRL odpowiednie dokumenty to znaczy kwestionariusze wizowe. Sprawy takie załatwiane są z zależności od określonych warunków (tłoku itp) w ciągu 2 do 3 miesięcy. Natomiast wizy turystyczne załatwiane są w ciągu 8 dni po wykupieniu i przedstawieniu w konsulacie PRL bonów "Orbisu". Cudzoziemiec wykupując bony za każdy dzień pobytu w Polsce opłaca w zależności od kategorii 10 lub 7,5 dolara, za co w zamian otrzymuje przewidziane usługi "Orbisu". Nie trzeba ukrywać, że taka zasada ma na celu uprzywilejowanie turystyki do Polski.

Praktyka za granicą

Pytanie: Mam ciocię w Holandii, która zaproponowała mi dłuższy pobyt u niej oraz praktykę i naukę zawodu w jednej ze znanych fabryk. Czy mógłbym do niej wyjechać, czy muszę tu na miejscu podpisać jakiś kontrakt z tą fabryką? Mam lat 16 i jestem uczniem XI klasy.

Odpowiedź: W zasadzie nie widzimy przeszkód do wyjazdu, jeżeli kochana ciocia rzeczywiście ma "poważne zamiary". To znaczy, że powinna ona opłacić drogę, przysłać zaproszenie itd. Wymagana też będzie zgoda rodziców i inne formalności, o których dokładne informacje można uzyskać w wydziale paszportowym komendy MO. Kontraktu nie trzeba tu podpisywać, bo żadnych skutków dla decyzji paszportowej i tak to nie będzie miało.

CENY W POLSCE

Pieczywo

Chleb (ceny za 1 kg): żytni 60% — 3 zł, razowy 97% — 2,50, razowiec 95% — 3, lubelski — 3,50, zakopiański — 6,60, Grahama — 4, naleczowski — 3,70, sitkowy 82% — 2,80, pytlowy — 3, starogardzki — 2,80, pszenne lecytnowy wyborowy, utrzymuje świeżość przez 3 doby — 7, żytni razowy na miodzie, utrzymuje świeżość przez 3 dni — 10,60. Łęczyski za ¼ kg. — 3,10.

Buleczki za sztukę: paryska — 2 zł, maślana — 0,50, solanka — 0,80, szwedka — 0,80, grahamka — 0,60, warszawianka (dawniej zwana kajzerką) — 0,40.

Rogaliki: 100-gramowy — 1 zł, mały — 0,50. Bajgle z ciasta gotowanego, plecione w obarzanek — 1,10. Plecionka z makiem — 0,80. Małgorzatka, bułka z 4 części z makiem — 1,60. Solanka — 0,80. Buleczka słod-

ka drożdżowa — 1,30. Batonik (bułka cienka, długa, na kanapki, z makiem) — 0,80, zwykły 200 g — 1,60.

Chalki: zwykła — 4,85 zł, ozdobna — 6,50, cukiernicza — 9.

Stroje na wczasy

Spodnie, w różnych kolorach, po 112 zł.

Opalacze od 31 zł. Przyjemne komplety 5-częściowe z lnu w paski, cena jest wprawdzie dość wysoka — 320 zł, ale też do całłości należy nawet kapelusik.

Plazowe sukienki z kretonu, z opalaczem tylko za 116 zł. Dla szczupłych 14 - 15 letnich dziewcząt komplet składający się z długich spodni, luźnej bluzki i dwuczęściowego opalacza — wszystko razem za 166 zł.

Kostiumy wełniane o przyjemnych wzorach — od 180 - 210 zł.

Konfekcja damska na lato

Bardzo ładne sukienki z białej bawełny, skromne i proste w cenie 172 zł. Dla młodych osób sukienki z obniżoną talią — m. in. niebieskie, czerwone i żółte w białe grochy po 118 zł.

Tegoroczne letnie spódnice są mniej kolorowe, przeważnie szyte z jednobarwnej bawełny — 260 zł.

Zastawa stołowa - Szkło

Komplet dla 6 osób, składający się z talerzy głębokich, płytkich i deserowych kosztuje 162 złotych.

Komplet — dzbanek i 6 szklanek do rozmaitych napojów kosztuje 45,2 zł. Śliczne miski z przydymionego szkła są po 12 zł. Takie proste szkło znacznie lepiej zresztą pasuje do nowoczesnych mieszkań niż ciężkie kryształy.

SKARBIEC STARYCH KLEJNOTÓW ODKRYTO POD RYPINEM

27 czerwca uczeni Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu prowadzący badania archeologiczne na terenie grodziska wczesnośredniowiecznego w Skrwilnie pod Rypinem, dokonali sensacyjnego odkrycia. W płytkim, niespełna półmetrowym wykopie na dawnych wałach w pobliżu jeziora znaleziono złote i srebrne przedmioty.

Z ziemi wydobyto mnóstwo klejnotów — złote bransolety, naszyjniki, diademy, pierścienie, z których wiele było ozdobionych brylantami i innymi drogimi kamieniami oraz przepiękne, ciężkie, kute w srebrze lichtarze, sztucce, tace i łańcuchy. Na jednej z odnalezionych tac widniała data: rok 1617. Również pozostałe przedmioty, jak wynika ze wstępnych oględzin, pochodzą z tamtego okresu. — Skarby musiały się znajdować w drewnianym kufrze, bowiem wśród klejnotów odkryto żłarty rdzą metalowy zamek. Na niektórych przedmiotach widnieją nie rozpoznane jeszcze dokładnie znaki herbowe.

Wartość odnalezionego skarbu szacuje się na około 2 mln. zł. niezależnie od wartości użytkowej jaką sobą przedstawiają.

ROZBUDOWA CHŁODNI

W ciągu najbliższych 5 lat wybudowanych zostanie 11 wielobranżowych chłodni składowych oraz 18 mniejszych chłodni specjalistycznych. W efekcie pod koniec 1965 r. powierzchnia w chłodniach będzie o 70 proc. większa niż w 1960 r. O tym, jak wielki to jest program, świadczyć może porównanie, że w 1950 r. w Polsce było osiem chłodni składowych, a w ciągu 1950-1960 wybudowano ich 15.

Pod koniec 1965 r. każde miasto wojewódzkie a także szereg większych ośrodków przemysłowych będzie miało własne chłodnię. Tak np. zbudowana zostanie druga chłodnia w Krakowie i Wrocławiu, powstaną chłodnie

w Chrzanowie, Częstochowie, Wałbrzychu, Zielonej Górze i Koszalinie. Wybudowana zostanie też portowa chłodnia wielobranżowa w Szczecinie oraz chłodnia eksportowa mleczarska w Trójmieście.

Tyle o lokalizacji chłodni składowych, ale ważne znaczenie będzie miało także zlokalizowanie chłodni specjalistycznych tam, gdzie jest duża podaż surowców. Dlatego też np. chłodnie dla potrzeb jajczarskich powstaną w Krasnymstawie, w Rzeszowie, Lublinie i w Słupcy. Chłodnie owocowo-warzywne wybudowane zostaną np. w Łowiczu, Pinczowie, Kwidzynie i Rzeszowie, a chłodnie rybne w wielu punktach na Wybrzeżu.

U w a g a !

WSZYSTKIE PISMA I CZASOPISMA POLSKIE można zaprenumerować w Rio de Janeiro w firmie

"M. KISIEL"

Av. Rio Branco 18. sala 407

Wielki wybór czasopism z dziedzin naukowych i technicznych, również w językach: angielskim, francuskim, rosyjskim, hiszpańskim i niemieckim. Czasopisma religijne; pisemka dla dzieci i młodzieży; szachowe, brydżowe, sportowe; z dziedziny sztuki, filmu, teatru, czasopisma handlowe. Poradniki techniczne, rzemieślnicze, rolnicze itd.

PRENUMERATA ROCZNA

NUMERY OKAZOWE DO PRZEJRZENIA

Do nabycia również Kalendarz POLONII na rok 1961, w pięknym, książkowym wydaniu. Cena Cr\$ 100,00.



REN-O-MAX

Ind. Eletromecânica Ltda.

Produtos de fabricação da "REN-O-MAX"

- ★ Chaves de faca abertas e blindadas, de abertura e fechamento rápidos.
- ★ Quadros de distribuição de luz com disjuntores termomagnéticos ou com fusíveis.
- ★ Cabines e quadros para distribuição e comando de força e luz.
- ★ Cubículos blindados tipo "Unit Substation".
- ★ Calhas com barramento tipo "Busduct".
- ★ Chaves e bases blindadas tipo "Plug in" para engate nas calhas.
- ★ Disjuntores automáticos de fabr. representada "Federal Pacific Electric Co." (U.S.A.) de 15 a 800A em estoque.

F Á B R I C A :

Rua Madre de Deus, 217/227 (Moóca) — Tel.: 93-5669
C. Postal, 2.504 - S. PAULO - End. Teleg.: "Eletroarco"

Co nowego w przemyśle krajowym

POLSKIE KOSMETYKI WĘDRUJĄ W ŚWIAT

Po raz pierwszy w tym roku rozpoczęto na większą skalę eksport kosmetyków polskich.

Głównymi odbiorcami polskich kosmetyków są kraje socjalistyczne, a przede wszystkim Związek Radziecki, NRD i Czechosłowacja. — Sprzedaje się także do Kanady, Iranu, Abisynii. — Ostatnio wysłano próbne partie do Włoch, Szwajcarii, NRF. — Wśród eksportowanych kosmetyków na czoło wysuwają się kremy, oraz pasta do zębów, mydła toaletowe, kredki do ust, wody kwiatowe, a także syntetyczne środki zapachowe z nowo uruchomionej wytwórni w Henrykowie.

Wybór kosmetyków będzie się zwiększał z każdym rokiem. Tak np. w br. pojawi się w sprzedaży ok. 70 nowych ciekawszych artykułów. Spośród nowinek warto zwrócić uwagę na samopalacz "Citosol" w płynie i emulsji. Wystarczy posmarować skórę, aby po 6 godzinach być opalonym "na Murzyna".

W czerwcu ma się też pokazać nowy krem sportowy "Ultrason". Będzie to krem szybko schnący o własnościach chłodzących. Dla panów wyprodukowano płyn do smarowania twarzy przed goleniem maszynkami elektrycznymi. Usztynia on skórę i uwypukla włosy.

Wreszcie mają się też pojawić lakiery do rzęs "Lamira", dla których nie będą groźne łzy.

Duże powodzenie zdobyły sobie też lakiery do włosów sprzedawane w rozpylaczach.

W 1965 R. — PIERWSZE OPONY Z OLSZTYNA

Oto niektóre dane o powstającej w Olsztynie fabryce opon. Budowa tej fabryki ma ruszyć w roku przyszłym. Uruchomienie produkcji jest planowane na rok 1965. W roku tym fabryka wyprodukuje 400 tys. opon, zaś w ciągu następnych 5 lat, do roku 1970, pełną produkcję — 3.450 tys. opon rocznie. Dla porównania — największa obecnie w Polsce fabryka opon w Dębicy produkuje rocznie 1.650 tys. opon.

Fabryka w Olsztynie będzie nowoczesnym zakładem o wysokim stopniu automatyzacji. Jednym z założeń budowy tej fabryki jest zapewnienie wysokiej jakości opon. Dzięki uruchomieniu fabryki w Olsztynie, będzie całkowicie pokryte zapotrzebowanie krajowe a nawet pozostaną pewne nadwyżki na eksport.

Olsztyn będzie produkował głównie opony do samochodów

osobowych, a także, w mniejszych ilościach, do samochodów ciężarowych i traktorów. Produkcja opon motocyklowych będzie skoncentrowana w Dębicy.

NAWOZY POTASOWE Z KŁODAWY

Wkrótce rozpocznie się eksploatacja soli potasowych w rejonie Kłodawy, gdzie wydobywa się na razie sól kamienną. Ostatnio, na podstawie rozpoznanych zasobów, stwierdzono możliwość rozwoju w tym ośrodku produkcji nawozów potasowych w wysokości ok. 300 tys. ton rocznie oraz pochodnych — związków potasu i magnezu.

Do 1965 roku kontynuowana będzie budowa zakładu górniczo-przerobczego w Kłodawie, którego zdolność produkcyjna wyniesie ma w rok później 450 tys. ton soli kamiennej i 25 tys. ton soli potasowych. Produkcja Kłodawy zmniejszy w pewnej części import nawozów potasowych.

"SPAGETTI"

Pierwszy 45 - centymetrowy makaron typu "Spagetti" wyprodukują zakłady w Gorzowie, jeszcze w lipcu br. Zainstalowano tam 4 włoskie agregaty - (do wyrobu nitek zwijanych, spaghetti oraz innych makaronów) o przeciętnej wydajności ok. 10 tys. ton rocznie. Linie są już zmontowane i w najbliższych dniach nastąpi ich rozruch. Poza tym w Malborku zostaną uruchomione linie włoskie o wydajności 9 tys. ton rocznie do produkcji makaronu (m. in. również "spagetti"). Zakłady w Malborku rozpoczną produkcję makaronów dopiero w przyszłym roku (montaż dwóch pierwszych linii nastąpi w IV kwartale br.). W Malborku ponadto zostanie uruchomiona produkcja konserw obiadowych (drugie dania).

Do wyrobu makaronów zabrał się również przemysł młynarski. Organizuje on w Lublinie nowoczesny zakład makaroniarski o automatycznych liniach włoskich na 6 tys. ton. Pierwsze wyroby otrzyma rynek stamtąd w początkach przyszłego roku.

WKRÓTCE PLASTYKOWY DOMEK STANIE NA SŁUŻEWCU W WARSZAWIE

(AC) — Jeszcze w maju, na warszawskim Służewcu — poligonie doświadczalnym budownictwa — rozpocznie się budowę jednorodzinnego domku, w którym znajdą zastosowanie wszystkie obecnie wytwarzane przez

chemię materiały budowlane. A więc: podłogi — z polichloroku winylu lub kauczuku syntetycznego, rury instalacyjne — z żywic poliestrowych. Przed chłodem uchroni mieszkańców warstwa izolacyjna ze spienionego polistyrenu, fragmenty wewnątrz mieszkalnych wyłożone zostaną płytami z PCV i powleczone trwałymi, barwnymi emulsjami. Nawet okuć budowlanych dostarczy chemia.

Wszystkie te materiały z chemii rodem są już dziś stosowane, przyczyniają się do likwidowania niedoboru materiałów podłogowych, drewna, tworzą podstawę rozwoju nowoczesnego budownictwa wielkopłyto-wego, zapewniając wysokiej jakości materiały izolacyjne. — Jednak takie rendez-vous wszystkich tych tworzyw na jednym placu budowy jest wydarzeniem bez precedensu.

Projektanci przygotowują jeszcze większy szlagier: na rysownicy znajduje się projekt budynku bez grama stali, całkowicie z tworzyw sztucznych. Zamierza się również wykonać magazyn pneumatyczny o powłoce z tworzyw sztucznych. Konstrukcję nośną tego urządzenia stanowić będzie... powietrze. Plastikowa "dętka", uzyska po nadmuchiowaniu, jak piłka lub materac gumowy, odpowiedni kształt.

Poza tym, z innych materiałów budowlanych rozpoczęto ostatnio produkcję nadzwyczaj lekkiego betonu komórkowego: metr sześć tego materiału waży zaledwie 360 kg. Warstwa betonu grubości 12 cm. posiada wartość izolacyjną taką, jak ściana ceglana o grubości 51 cm. Jeszcze w tym roku sta-

nie budynek z lekkich betonów, ze stropami z płyt spłasnionych, w których stal użyta zostanie jedynie na okucia i instalacje. Rozpocznie się też prace nad wprowadzeniem do budownictwa mieszkaniowego betonów sprężonych używanych dotąd powszechnie przy wznoszeniu obiektów przemysłowych.

★

Na dziewiątym miejscu w świecie, jeśli chodzi o budownictwo okrętowe w roku 1960, uplasowało Polskę znane szkockie pismo gospodarcze "Glasgow Herald Trade Review". Są to jednak wstępne dane statystyczne, nie obejmujące przemysłu stoczniowego w ZSRR, Chinach i NRD.

Największy tonaż zwodowały w ub. r. stocznie japońskie — 1.600 tys. BRT, dalej angielskie — 1.340 tys. BRT, na trzecim miejscu znalazły się stocznie NRF, na siódmym — USA (pół miliona BRT), na ósmym stocznie włoskie i wreszcie — stocznie polskie (222 tys. BRT).

W ten sposób Polska wyprzedziła takie potęgi stoczniowe, jak Norwegia i Dania, nie mówiąc o Belgii czy Hiszpanii.

★

Od kilku lat w wodach jez. Pluski koło Olsztyna grasował bezkarnie olbrzymi szczupak, niszcząc rybostan oraz porywając dzikie kaczki. Wędkarze bezskutecznie próbowali go złowić. Wreszcie niedawno szczupak - pirat wpadł w sieć rybackie. Okazało się, że waga jego wynosiła 24,6 kg, a wiek przypuszczalnie ok. 10 lat. Głowę tego rybego potwora spreparowano i wystawiono w sklepie rybny w Olsztynie, gdzie wzbudza sensację wśród przechodniów.

PACZKI
D O
POLSKI I ROSJI
ZASTĘPSTWO NAJWIĘKSZEGO
DOMU WYSYŁKOWEGO
TAZAB-LONDON
albo PEKAO
Importação e Exportação
Julie e Dragutin Rajic Ltda. - São Paulo
Praça da Sé, 399 — 4.º — Tel.: 36-8530 i 33-4963
Ułatwienia w płaceniu należności.

Indústria Metalúrgica

STELLA Ltda.

FABRYKI:

rua Serra de Japí, 31 - Tel.: 9-0262 - SÃO PAULO

Via Monteiro Lobato - GUARULHOS

BIURO:

rua Conselheiro Crispiniano 53 9.º

Tel.: - 35-9180 i 35-9189

RURY KANALIZACYJNE I PRZEMYSŁOWE

W Brazylii o Polsce - w Polsce o Brazylii

ROZMOWY HANDLOWE POLSKO-BRAZYLIJSKIE

Cała prasa polska omawiała obszernie sprawę rozmów handlowych polsko - brazylijskich. Specjalny wysłannik prezydenta J. Quadrosa ambasador João Dantas spotkał się z wyjątkowo życzliwym przyjęciem w Polsce.

Jak pisze "Życie Warszawy":

"Od lat wiąże Polskę z Brazylią rozwijające się w sposób niezmiernie dynamiczny stosunki handlowe. Warto je zilustrować przytaczając choćby takie fakty że w okresie ostatnich 10 lat wzajemne obroty wzrosły z 9,5 mln. zł. dew. w roku 1950 do 185 mln. zł. dew. w roku ubiegłym.

Brazylija jest najpoważniejszym partnerem gospodarczym Polski wśród krajów zamorskich. Sprowadzamy stamtąd rudę żelaza, bawełnę, kakao, kawę, i sisal, wywozimy statki, szyny kolejowe, walcówkę, chemikalia, sól a ostatnio także maszyny rolnicze i sprzęt motoryzacyjny.

Jest także przedmiotem naszej dumy, iż do kraju, do którego niegdyś wyjeżdżali Balcerowie w poszukiwaniu gościnnego chleba, wysyłamy dziś naszych fachowców. Dobre świadectwo o Polsce wystawiła grupa inżynierów, pomagająca w rozruchu fabryki sody w Cabo Frio w Brazylii.

Polska jest zainteresowana możliwościami wzrostu wymiany handlowej z Brazylią. Dowodem tego była także polska wystawa przemysłowa zorganizowana przed paroma laty po raz pierwszy na kontynencie Ameryki Łacińskiej w São Paulo.

Przedstawiając różnorakie możliwości eksportowe Polska daje dowód wysokiego zainteresowania także importem z Brazylii. Wysokość tego importu jest bowiem praktycznie wyznaczona przez wysokość polskiego eksportu do tego kraju.

DYSPROPORCJE

"Tygodnik Powszechny" wydrukował ostatnio bardzo ciekawą artykuł pod powyższym tytułem pisma Michała Brackiego. Autor w sposób rzeczowy i życzliwy rozstrząsa problemy współczesnej Brazylii.

Podajemy z tego artykułu wyjątki, chociaż, gdyby nie brak miejsca warto było by wydrukować ten artykuł w całości.

Brazylija uchodzi słusznie za kraj, który ma przed sobą olbrzymie możliwości, dotychczas prawie zupełnie nie wykorzystane. Ten kolos o powierzchni 8,5 miliona km² zamieszkują 62 miliony mieszkańców, z których jedni znajdują się jeszcze w epoce kamiennej, drudzy są przesyceni osiągnięciami współczesnej techniki. Na terenie tego samego stanu niektórzy mie-

skańcy sporządzają jeszcze kościane ostrza strzał, podczas gdy inni budują wielkie zakłady przemysłowe. Brazylijczyk układa się do snu w koronie wielkiego drzewa, jak również zasypia na 30 piętze drapacza chmur. Kraj niewiarygodnych socjalnych, kulturalnych, gospodarczych i naturalnych sprzeczności, występujących zarówno w milionowych miastach jak i w bezludnych okolicach.

Zasadniczym problemem Brazylii, związanym ściśle z rozwojem tego kraju, jest jej ludność.

Ludność Brazylii jest niezwykle różnorodna, składają się na nią głównie biali przybysze z Europy (ok. 32 mln.), przybyli głównie w XIX w. Włosi, Portugalczycy, Hiszpanie, Niemcy, Polacy. Drugą grupę stanowią Murzyni (ok. 11 mln.), potomkowie dawnych niewolników (w XIX w. stanowili 60 proc. ludności), oraz Mulaci (ok. 10 mln.). Trzecią grupę stanowią Indianie (ok. 1 mln.), żyjący przede wszystkim na zachodzie i północy kraju, w dorzeczu Amazonki, oraz Metysi (ok. 8 mln.). W Brazylii nie występują jednak żadne dyskryminacje rasowe. Po roku 1889, t. j. po wprowadzeniu republiki, wzrastała bardzo poważnie imigracja z Europy. Wpływ tej masy imigrantów na postęp i rozwój gospodarczy Brazylii był i jest bardzo duży.

Po pewnym czasie wrosła w nowe środowisko, przyczyniając się wydatnie do jego postępu. Świadczą o tym nazwiska ludzi zajmujących wybitne stanowiska w Brazylii. Poprzedni prezydent Juscelino Kubitschek jest synem emigranta Czecha. Obecny prezydent Janio Quadros jest potomkiem emigrantów włoskich i portugalskich. Ten fantastyczny tygiel ludności będzie stanowił jeszcze przez długie lata nieskrystalizowaną masę, jednakże na pewno wytworzy nowy typ ludzi, w pełni żyjących życiem swojego kraju, podobnie jak to ma miejsce już od dwóch generacji w Stanach Zjednoczonych. Nowa stolica, Brasilia, budowana z takim samozaparciem w centrum kraju, w bardzo trudnych warunkach, jest dowodem tego nowego ustosunkowania się do rzeczywistości politycznej i gospodarczej, a zarazem pewnym symbolem często jeszcze podświadomych dążeń.

W życiu gospodarczym Brazylii występuje zdecydowana przewaga Południa.

Autor przytacza dane statystyczne, mówiące o tej przewadze w dziedzinie przemysłu i rolnictwa.

... Ogromną przewagę i korzyści przynosi regionowi południowemu jego łagodny klimat. Ale tych ogromnych różnic gospodarczych nie należy przypisywać wyłącznie tylko czynnikom geograficznym. Właśnie

północne i wschodnie obszary Brazylii są szczególnie bogato wyposażone przez naturę. Niewątpliwie te zasoby surowcowe i energetyczne są tam bardzo trudne do wykorzystania, z powodu ciężkich warunków klimatycznych i zupełnego braku komunikacji, ale trudności nie tłumaczą w zupełności tego ogromnego pędu ludności oraz koncentracji gospodarczej na południu kraju. Na te dysproporcje rozwoju gospodarczego wpływa w dużym stopniu ucieczka ze wsi do miast, przejawiająca się zresztą nie tylko w Brazylii, ale na całym świecie, jako wynik dysproporcji między zarobkami w przemyśle, handlu i usługach z jednej strony, oraz w rolnictwie z drugiej strony. W Brazylii ta ucieczka ze wsi jest spotęgowana ponadto przez dodatkowe czynniki. Jeszcze przed pół wiekiem istniały imigracje sezonowe ze stanów północno-wschodnich na południe. Do chwili obecnej pewna część brazylijskich robotników rolnych prowadzi raczej koczowniczy tryb życia, przenosząc się ze stanu do stanu. Decydującym czynnikiem, wpływającym na masową ucieczkę ze wsi do wielkich miast, jest ogromna rozpiętość między niezwykle prymitywnymi warunkami życia w głębi kraju, a luksusem w wielkich miastach.

Szczególnie silny rozwój przemysłu brazylijskiego w ostatnich latach wpłynął na dalszy wzrost dysproporcji. Łączy się to ściśle z ogromnym wzrostem dużych miast, szczególnie na południu, do których głównie płynęła duża fala emigrantów z Europy, po drugiej wojnie światowej (95 proc. emigrantów po r. 1945 osiedliło się na południu). W związku z tym większość nowych zakładów przemysłowych powstała na tym terenie, a w szczególności w São Paulo, gdzie mogły one korzystać

z znacznych rezerw wykwalifikowanych sił roboczych. Pozostałe obszary kraju, na skutek ucieczki ze wsi i odpływu ludności na południe, nie rozporządzały tymi rezerwami i nie miały siły przyciągania dla nowo powstających zakładów przemysłowych. Rzemiosło, które normalnie stanowi dobre przygotowanie dla kadr pracujących w przemyśle, jest w Brazylii stosunkowo słabo reprezentowane, w głębi kraju nie istnieje ono prawie zupełnie.

Zdaniem autora rząd prezydenta J. Quadrosa będzie miał znaczne trudności, aby złagodzić istniejące w kraju dysproporcje i doprowadzić do zgodnego z racją stanu proporcjonalnego rozwoju kraju.

SPRAWY POLSKIE W PRASIE BRAZYLIJSKIEJ

Od pewnego czasu dziennik "Correio do Paraná" w Kurytybie podaje w środy i niedziele obszerny dział polsko-brazylijski. W numerze z dnia 5 sierpnia zamieszczono notatkę o wydanej ostatnio przez "Lud" książkę Pawła Nikodema: "Odkrycie Parany" (obszerna recenzja tej książki ukaże się w następnym numerze naszego pisma), — wzmianki o: 20 rocznicy śmierci Tadeusza Boya - Zeleńskiego, turystyce w Polsce, stosunkach kulturalnych polsko - brazylijskich, Mari Konopnickiej i Mazowszu.

Dział polsko-brazylijski w "Correio do Paraná" prowadzony jest żywo i w sposób zajmujący przez redaktora Jana Krawczyka.

W Porto Alegre dwa pisma codzienne: "Diário de Notícias" i "Correio do Povo" zamieściły artykuły o pomniku Chopin'a, budowanym w tym mieście przez miejscowe społeczeństwo przy wydatnym udziale kolonii polskiej.

SAMDACO S. A

Distribuidores e importadores exclusivos dos famosos carros JAGUAR E BORGWARD e concessionários de caminhões e ônibus pesados Diesel SCANIA - VABIS, e

Dacon S. A.

DISTRIBUIDORES DKW - VEMAG

Agora nas mais modernas instalações de São Paulo à AV. CIDADE JARDIM, 414 (continuação da Rua Augusta) esquina da Rua Iguatemi.

Telefones: PBX — 80-1531 — 8-9003 — 8-6110

FILIAIS:

Rua Augusta, 1245	32-8193
Rua da Consolação, 1837/45 (em reforma)	36-3448 e 35-8383
Rua Cel. José Euzébio, 79	51-7910



W nowym filmie polskim: "Wyrok" w głównej roli Adasia występuje Grzegorz Roman.



Moda polska. Suknia popołudniowa z płótna w kolorowe paski na wczasy.

ROZMOWY HANDLOWE
POLSKO-BRAZYLJSKIE
Wystawa prac dzieci w Łodzi.



Stoisko polskiego przemysłu odzieżowego na XXX Targach Poznańskich.





ELETROMAR



...PRECISÃO
...SEGURANÇA
...QUALIDADE



- LINHA INDUSTRIAL
- LINHA DE ILUMINAÇÃO
- LINHA DOMÉSTICA
- LINHA DE RETIFICADORES

Concessionários & Distribuidores

-  **WESTINGHOUSE**
Electric International Co., Nova York, USA
-  **WESTINGHOUSE**
Brake&Signal Ltd., Londres, Inglaterra
- SOLA**
Electric Co., Chicago, USA

**RIO DE JANEIRO
SÃO PAULO**

ORGANIZAÇÕES DE VENDAS EM:

- | | |
|-----------------------|------------------|
| Pôrto Alegre | Salvador |
| Curitiba | Recife |
| Belém | Fortaleza |
| Belo Horizonte | Brasília |

ELETROMAR

INDÚSTRIA ELÉTRICA BRASILEIRA S/A.

Brasília Publ.

criação

Tricot-Lã

sweater
original



um produto

TRICOT-LÃ S.A.

INDÚSTRIA DE MALHAS